BIBLJOTEKA
gimnazjum polskiego
w Poniewieżu
№ katalogowy 260
Dział H
№ inwentarzowy

SZLAK TATARSKI

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

27580

A8574

BOLESŁAW BIERNACKI

SZLAK TATARSKI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z XIII WIEKU.

27128

BIBLJOTEKA
gimnazjum polskiego
w Poniewieżu
№ katalogowy 260
Dział
№ inwentarzowy

POLSKIE GIMNAZJUM w Poniewieżu

WARSZAWA.
NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI".
1905.

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
258760

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 мая 1905 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0124765

W/233/01

15,-

Czcigodnej pani Aleksandrze z Bobakowskich Wronckiej w hołdzie składa.

Autor.

I.

Tatarzy, za czasów panowania Bolesława Wstydliwego, dwa razy ogniem i mordem okrutnym zniszczyli Sandomierz. Atoli z jęków, łez, krwi i pożarów po raz trzeci powstał nowy gród, odrodziło się nowe miasto. Dziw nad dziwy, że z wtórnych popiołów potężniejsze urastało miasto, potężniejsze w siłę urastały barki u pokoleń młodych.

A kiedy nie stało Bolesława, a na stolicy książęcej zasiadł młody junak, rycerskością zachodnich krajów wsławiony — Leszek, którego wierny lud nazywał Czarnym, zdało się, że orle skrzydła urosły u ramion tych mieszczan Sandomierskich.

Rwały się do roboty krzepkie ręce, a w piersiach grała ochota.

Przesławny Witkon stanął na czele mężów znojnej pracy, lecz niepożytych zasług dla wszystkich pokoleń przyszłych.

Książę Czarny umiłował sobie Witkona i chcąc go w części wynagrodzić, a w części ulżyć niestrudzonym zabiegom i troskom około dźwignięcia umiłowanego miasta z gruzów — rzekł:

— Wierny sługo! cześć tobie, za pracę twoją. Ale jak skrzętna pszczółka bez wdzięcznych kwiatków nie naniesie słodkiego miodu i żółtego wosku do pasieki, tak samo darmo żądajmy od człeka owoców jarych jego znojów, jeżeli patrzyć będziemy tylko obojętnie na jego wysilenie: gdzie barki sługi w znoju, tam ramię i oko władyki spieszyć muszą z pomocą.

Witkon upadł dobremu księciu do nóg i w parę niedziel poselstwo z Krakowa szło do Sandomierza z drogocennem pergaminem, uświęconym trzema pieczęciami w czerwonym wosku.

I został Witkon dziedzicznym wójtem Sandomierza.

Pokłoniły mu się stany bogate, pokłoniły się stany biedne, czołem biło pospólstwo i w pas kłaniała się złota pszenica sandomierska.

Dwieście bogatych łanów, droższych nad złoto, trzymał w garści i mógł z nich rozdawać wszelkim osadnikom, nawet zamorskich nacyi. Z każdego szóstego pola, szóstego ogrodu, domu, dochód do jego skrzyni spływał. Był przeto Witkon pan możny, bystry na umyśle i słońcem łask książęcych upotężniony.

Dlaczego jednak ten wójt dziedziczny, nazajutrz po otrzymaniu pergaminu, miast wydać wspaniałą ucztę, przywdział na ciało ostrą włosienicę, ażeby mu w bólu plecy krwawiła, i poszedł, podpierając się koszturem, w ciemne lasy?— ludzie nie wiedzą.

Trzy razy słońce zapadało za górami, a Witkon nie wracał. Piątego dopiero dnia, o zmroku, straże widziały dwóch mężów, zmierzających na ratusz. Jeden był pochylony, zarośnięty srebrnym włosem, a drugi w sile wieku męskiego, obaj ubogo odziani.

Po ruchach w tym młodym poznano wójta, pachołkowie mu też wstrętów żadnych nie czynili. Jeno stłumione szepty poszły w dal, jak obręczne fale, kiedy na spokojną rzekę kamykiem myrgniesz.

Niebawem po niedzieli dowiedzieli się mieszczanie, że przybył nowy osadnik; dostał on, tak samo jak inni, pole uprawne i wykarczowane, z którego przez

ośm roków nie miał płacić ani czynszów, ani podatków.

Ten nowy osadnik, a tajemniczy, był to Marek Owca. Prędko on sobie serca innych panów mieszczan kupił — dobrocią a mądrą radą. I zdumienie urosło jeszcze większe, kiedy pospólstwo zobaczyło dom, jaki sobie Owca dźwignął—z kamienia. A milczkiem wszystko robił i chociaż miał głos twardy, szorstki, jak dzika bestya, serce w tym mruku dzwoniło wielkiem umiłowaniem ludzi.

Prędko go też powołano ażeby zajął szóste miejsce ławnika, którego, łońskiego roku, kamień młyński zabił, przy budowie miejskiego muru.

Siedzi teraz tedy na ławie wedle wójta, jako sędzia, Marek Owca.

Witkon porywczy był, surowo też oskarżonych chciał karać. Marek Owca, na rozum rzecz brał, długo ważył, trząsł siwą głową, mruczał, aż póki nie dopiął swego i prawda jako olej na jaśnią wypływała.

Przywlekli właśnie pachołkowie do izby sędziowskiej z głębokiego lochu wyrostka, powrozami skrępowanego.

Inni ławnicy już się byli umęczyli, bo długo tego dnia spraw słuchali. Sam Witkon też się był niecierpliwił, w żołądku burczało mu z głodu, a potem chciał jeszcze obaczyć roboty wedle baszty miejskiej.

Owca spojrzał na wyrostka i wnet rozkazanie dał pachołkom, żeby go ze sznurów uwolniono.

Włosy wyrostka były poklejone błotem i potem, na twarzy, rozwartej piersi, świeciły krople zakrzepłej krwi, w czarnych oczach żal i ból się kłębił; wargi jednak miał zacięte, dychał ciężko.

Owca skinął ręką — wyrostek się przybliżył.

— Na czem cię przyłapano? Kradłeś? Mów prawdę. Jeno szczerość mocna ci umniejszyć karę za przewinienie.

Chłopiec potrząsnął głową, otworzył usta, głosu z gardzieli nie mógł wydobyć.

— Przybłęda to i rabuś,—jął tłumaczyć za milczącego wyrostka jeden z pachołków. Naleźliśmy go dziś w nocy śpiącego w kotlinie, pod kościołem ś-go Pawła. Zaraz pomyśleliśmy sobie, oho! ptaszka mamy. Nie poszedł do furty kościelnej prosić o nocleg, bo by go tam zaraz zapytali: A skąd jesteś kochanku? a poco się spieszysz i dokąd dążysz?...

Gdy ten przerwał, jął zaraz ciągnąć drugi pachołek:

— Wzięliśmy go też zaraz pod boki i zmacali za pazuchą ten oto klejnot wielkiej wagi i ceny.

Wziął do ręki Owca sygnet i aż zakrzyknął z zadziwienia. Spojrzał Witkon, rzucił okiem — zbladł.

Podniósł się całą postacią z ławy i biegł do chłopca. Szarpnął go za ramię.

— Przez miły Bóg, ś-tą Agnieszkę, ś-go Iwona, powiadaj! komuś i gdzie ukradł to złoto?

Trząsł chłopakiem wójt, jak osiną, a ten milczał uparcie, tylko mocniej wargi zacisnął.

— Hultaj to musi być nie lada jaki. Ledwie żem go ucapił, a ten jak się odwinie, huknął mnie w pysk, aż mi się gwiazdy pokazały. Na odlew Bartka trzasnął, że farbą spłynął. To tylko, iż sześciu ludzi kościelnych przybieżało nam wczas z pomocą, bo by był uszedł w lasy.

Wtrącił się Marek Owca.

— Milczenie to ci na dobre nie wyjdzie, bo w piwnicy haki otwierają i najzatwardzialszemu gębę.

— Nie hultaj, nie rabuś i nie złodziej jestem, dostojny panie! Z dalekich tu wędruję krajów... do

swoich... Matka nieboga, umierając, przykazała mi prze dać dobytek wszelki i wracać zkąd sama była roden Dała mi ten sygnet z takim przykazaniem: Wyzbąć się wszystkiego, gdy przyjdą na cię ostatnie termin prawą rękę odetnij, sprzedaj za misę strawy, lecz kle not w całości zachowaj, bo po nim cię tylko tam po znają swoi.

— To dziw! — mówił drżącym głosem Owca,— po wiadasz się być z obcych krajów, a naszym językie tak gładko gadasz, jak każdy z nas?

Wyrostek znów popadł w zadumę, a kiedy i Wi kon przynaglał, żeby mówił, odparł:

— Macierzy to sprawa. Ona tylko językiem Po laków przemawiała do mnie, a z rodzicem też inacze nie gadała. Ona mi ciągle mówiła o białej rzece W śle, o tych lasach, górach i dolinach, któremi ciągn łem potem. Wiedziałem, że ta kraina jest pełna zboż owoców, ryb i zwierzyny; że ma bydło i trzody, mi dy i konie, że ma kościoły najcudniejsze na świeci i władyków najlepszych. —

— Dobrze, ale nic nie wiemy zkąd przybywasz — przerwał Witkon.

— Aże z krainy Arpadów...

— W Imię Ojca Przedwiecznego!...— zawołali jednocześnie Witkon i Owca.

— Jakże się tam twoja macierz dostała? a ty jaześ tu stanął?...

— Z kuglarzami przechodziłem kraje. A matka moja dziewicą była, kiedy ją, w czasie najścia Mongołów, Tatarzyn zgonił i porwał na koń. Na Rusi przedali ją kramarzom, a od tych dostała się memu rodzicielowi.

— A czem się twój rodzic zabawiał?

— Rycerskiem rzemiosłem.

— I rodzice cię puścili — przynaglał Witkon.

— Nie pytajcie, dostojni panowie, więcej, bo para ostatnia ze mnie wyjdzie... Cały dzień męczono mnie w lochu... Nie pytajcie.. Innym dniem opowiem...

Wyrostek naprawdę ledwie się słaniał na nogach. Ulitował się nad nieborakiem Marek Owca. Kazał go pachołkom odprowadzić do domostwa swego i wnet w ślad za nimi poszedł.

— Wielkie są tajemnice Boga!— szeptał wzruszony Witkon.

II.

Lubo Marek Owca nie kramarzył towarami, mi przed domem przedsienie na słupach jak inni.

Pod czołową ścianą, na kamieniu, siedziała star cha, kiedy właśnie oprawcy prowadzili znanego na wyrostka.

Starucha potrzęsła głową, uniosła się z siedzen i wspierając kościste ręce na kosturze, krzyczała:

— Wyświęcają przybłędę z obcych krajów! A hy a hyś!...

Poszedł Owca, pocałował w kościste, czarne rę latami przygłuszoną białogłowę i rzekł:

— Matko Agnieszko — Bóg prowadzi w don stwo nasze, osłabłego i głodnego — cześć Bogu! A na

zygarnąć należy tę chudzinę nie w czeladnej, lecz świetlicy pieczywem i mięsiwem, mlekiem i miodem.

A potem podniesionym, uroczystym już głosem dał:

— Nieszczęsnego Domarada to wichry przygnały ojczyste niwy...

Matce Agnieszce, aż rumieńce zakwitły na wosko-ej, pomarszczonej twarzy, opuściła kosztur i suchemi nionami objęła Owcę.

— Ty dobry!... synku!... Tobie Bóg dał i rozum serce, a to rzadki skarb na świecie. W jednym myślenia dużo, a litości nie najdziesz, innego dobre ęci jeno unoszą, a zastanowienia brak. Chciałam ci już na czeladź uderzyć — żeby mu plag jeszcze na chodne parę nie wiele dodali, a ty powiadasz, że to marad!

Nasza krew godna!...

Wprowadzili wyrostka do świetlicy, usadzili na ie i wnet misa jadła stanęła.

Chłopak jednak nie tknął i kęsa, jeno zadumany, kłbyś człek przygnieciony wiekiem, zwiesił głowę na u i rozpamiętywaniem się zabawiał.

Marek trącał go raz po raz łokciami, a chłopak wciąż milczkiem zbywał zapytania.

— Kroplę jaśniejszego napitku mu trzeba. Niech mu się w głowie rozjaśni!—mruknął wreszcie Marek do matki Agnieszki. Ta się wnet podniosła i wyszła do sadu.

Chwila jedna, druga była ciszy. Wtem wielki krzyk dławionej niewiasty rozległ się dookoła.

Zatrząsł się jak w febrze Marek, podniósł się wyrostek. Wybiegli z świetlicy przed sień. Zwierz kudłaty trzymał mocno w ramionach staruchę. Ona chwyciła się za drzewo i opór niejaki przeto stawiła.

Marek zrozumiał odrazu, że dziki niedźwiedź rozszarpie jego macierz.

Chwycił łuk. Naciągnął, wymierzył... W boku utkwiła strzała, ale zwierz podrażniony, szarpnął mocno i przytłoczył cielskiem matkę Agnieszkę.

Wypadła i czeladź i z czem kto mógł, biegł na ratunek.

Domarad innych uprzedził. Porwał leżący przy płocie wielki czekan i uderzył straszliwie ostrą stroną w kark bestyi. A w tej samej chwili uniósł niebywa-

łą mocą łapy zwierza i całem cielskiem odrzucił go o parę kroków.

Ślepie wybałuszyli ludzie, a i sam Marek, widząc taką moc wyrostka, aż się przeżegnał ze zdumienia.

Omdlałą z przerażenia matkę Agnieszkę czeladź wzięła ostrożnie na ręce i przeniosła do świetlicy. Domarad chciał iść za innemi, ale zatoczył się w prawo i w lewo, w oczach mu pociemniało. Marek, widząc to słanianie się chłopca, podparł go ramieniem, a jednocześnie przekonał się, iż zwierz srodze okaleczył łapą wyrostka, zdarł mu skórę z części głowy, z ręki i z nogi.

Natychmiast zajął się Marek opatrunkiem. Chłopak zaciskał zęby, ale jęku nie wydał, gdyby nie oczy, jakby mgłą przysłonięte, w których przebijał się wielki ból, możnaby rozumieć, że wyrostek stracił wszelkie czucie. Zasnął wreszcie twardo na wysokich betach; wtedy Marek wyszedł z łożnicy.

W czeladnej wnet stół zasłano białą serwetą; wniesiono chleby, misy cynowe, w których smacznie dymiła się wieprzowina, groch; w osobnych naczyniach stało warzone doma piwo. Czeladź też się zebrała gromadnie. Gospodarz krótką modlitwą pobłogosławił jadło, siadł na wyższem miejscu, a do koła niego niżej, inni służebnicy zajęli miejsca.

Odsunął od siebie podaną misę. Zrozumieli zaraz wszyscy, że dzisiaj milczkiem trzeba wieczerzać i żwawo, ażeby nie przerwać dumań Markowi,— ostawić go jak najrychlej samego. Zwijali się też zjadłem jak kto mógł najszybciej; mało kto piwem ze dzbana popił, w parę pacierzy skończono wieczerzę. Skoro też gromadka wytarła rękawami zatłuszczone gęby, Marek klęknął, zmówił dziękczynny pacierz. Potem każdemu z kolei ściskał głowę i wysuwał rękę do pocałowania.

— Niebawem ostał sam w izbie. Swobodny już, począł ją mierzyć ciężkiemi krokami i myślą przeniósł się w dawno ubiegłe wypadki, które poruszyło nagłe przybycie wyrostka do Sandomierza.

— Tak to ci jest! — dumał Marek. — Jest on ich rodzony, a przybył nie w porę, bo stryjcowie już się podzielili dziedzictwem jego rodzicielki.

Położył na dłoni sygnet, znaleziony u wyrostka, i wpatrywał się w ten klejnot bacznie.

27128

UNIWERSYTET W BIAŁYM... BIBLIOTEKA GŁÓWNA

— Piętno Rożków: biała róża w czerwonem polu. Potem stanął mu dziad wyrostka przed oczami. Był to człek mężny, obrotny i pracowity. Poległ od strzały tatarskiej, a konając widział, jak Mongołowie pognali jego jedyną dziewoję—Zośkę w ciężki jasyr.

Noc już zapadła głęboka, a Marek wciąż jeszcze rozmawiał z gwiazdami.

III.

Upłynęło parę niedziel. Domarad, po długim pasowaniu się z dolegliwą niemocą, wrócił do zdrowia. Witkona, w pilnych sprawach, wezwał rozkazaniem książęcym Czarny do Krakowa i na Marka zdał zarządzanie miastem. Był on też cały dzień zajęty pracą: albo na ratuszu sądził, albo przy kopaniu wałów ochronnych stał, to powoływano go na zamek, aby gospodarskiem okiem sprawdził robotę murarzy, co wznosili okolne mury grodu, to znów wyznaczać musiał miejsca sprawiedliwe tym mieszkańcom, którzy ze starego przenosili się do nowego miasta.

Cknił sobie Domarad. Począł coraz częściej rozglądać się po mieście. Chodził tedy koło kramów bo-

gatych, naładowanych szkarłatem, złotem, srebrem, aksamitem albo atłasem.

— Piękniejsze jest to miasto—myślał—od innych, jakie widziałem w cudzych krajach.

A ruch wielki był w mieście, ludu moc, jak w kościele na odpuście.

Strojnych widział mieszczan; w aksamitnych płaszczach, atłasowych żupanach, srebrnemi obręczami opasanych.

— Sprawiedliwie rodzicielka mówiła, że żyć a nie umierać w tym cudnym kraju.

I serce mu tak biło głośno z radości, iż chciał nie tylko szkarłaty, ale i łachmany chwytać za nogi i całować.

Poszedł do starego miasta. Były tam dwa kościoły, jeden szczupły w sobie—to kościół ś-go Pawła. Drugi był murowany, ubezpieczony mocnemi basztami—to kościół ś-go Jakóba.

U progu świątyni, na kamiennej płycie, dotykając ustami odrzwi, tarzał się starzec bieluchny, jak gołąbek i powtarzał raz po raz:

— Święty mocny, Boże! broń nas od powietrza głodu i pożarów... Mocny i Nieśmiertelny! nie oddawaj

nas pod nóż Mongołów. Boże Sprawiedliwy! powróć białogłowy, dziewice i pacholików naszych z jasyru...

Zbliżył się Domarad. Przy korzącym się starcu klęczała ze złożonemi rączynkami na piersiach drobniuchna dzieweczka. Niebieskie, pełne łez oczęta trzymała wysoko podniesione w niebo i modliła się:

— Boziu! daj zdrowie dziadusiowi!...

Spostrzegł Domarada, obłąkany starzec. Wstał na kolana, a potem uniósł się całem ciałem. Ręce wzniósł w górę. Zatrzymał się Domarad.

— Święty Sadoku, uczyniłeś cud! Zbliża się chłopię... Zbliża się chłopię, którego czasów pierwszego najścia Tatarów widziałem na tych niwach... Wraca dziatwa z jasyru!... Wracają dziewice!... Z grobów powstają męże!...

W tej chwili wyszedł z za furty zakonnik. Podszedł do starca, przeżegnał go znakiem krzyża, wziął delikatnie za rękę i rzekł:

— Chodź za mną zacny, a nieszczęsny Rościsławie...

Starzec wnet się uspokoił i jak dziecko posłuszne, poszedł za zakonnikiem z rozpłomienioną twarzą.

Od tego czasu chodził Domarad codzień do starego miasta. Nie chcąc jednak przerażać starca, nie wychylał się na jaśnią, lecz ukryty za konarami drzew słuchał jego modlitwy.

Tak znów upłynęło parę niedziel, aż jednego dnia nie znalazł ani starca, ani wnuczki. Strapił się. Złe przeczucie go tknęło.

Kiedy na drugi i trzeci dzień nie przychodził starzec, Domarad pomyślał:

— Albo zachorzał nieprzezpiecznie, albo i zmarło mu się.

Rzeczywiście Rościsław umarł. O. Dominikanie sprawili mu pogrzeb piękny i pochowali w podziemiach klasztornych.

Dziewczynka ostała sama na świecie. Chwilowo zaopiekowali się nią zakonnicy i szukali rodziny, którejby mogli dziewczyninę powierzyć.

Dowiedział się o tem Domarad i zaraz myśl jedna go się czepiła.

— Prosić Marka, żeby przytulił u siebie sierotę.

Wyczekiwał tedy niespokojnie wieczornego dzwonka, o której to porze wracał Marek na wieczerzę do domu

po dziennej pracy. Doczekał się wreszcie pożądanego zmierzchu.

Wrócił Marek, ale dostęp do niego był trudny, bo w ślad za gospodarzem przybyło kilkunastu mężów, należących do stanu bogatego i biedniejszego. Za nimi ciągnęły przeważnie matrony, młodsze białogłowy przybrane w wysokie, strojne, aksamitne kołpaki, srebrne lub złote zausznice i naszyjniki. Jasne jak słońce dziewice miały na głowach cudne wianki z zamorskich pereł.

A mężowie kiedy pozdejmowali aksamitne płaszcze, łuna aż od nich biła. Atłasowe żupany świeciły srebrnemi guzami, pasami i kordami.

Matka Agnieszka ustrojona odświętnie, w powłóczyste szaty, ozdobione cennemi klejnotami, witała na przedsieniu zacnych patrycyuszów oraz patrycyuszki i czyniąc honory należne starszyźnie miejskiej wprowadzała do świetlicy. Natomiast Marek w szaraczkowy, skromny przybrany był ubiór. Nie widać na nim było świecideł. Kłaniał się w pas wchodzącym niewiastom, a mężczyzn obejmował ramieniem i długim, serdecznym darzył uściskiem.

Świetlica jednak świadczyła aż nadto o zamożności gospodarza. W wysokich a wązkich oknach, tkwi-

ły nie błony pęcherzowe, tłuszczem namazane, lecz szybki zielone, kształtu krążkowego, oprawne misternie w ołów. Dziw to był nad dziwy w one czasy, o wielkiej zamożności świadczył gospodarskiej. Ściany wyłożone były cisowem drzewem, pięknie na czerwony kolor wypolerowane. Opony adamaszkowe zwieszały się z pułapu. Stoły, z tegoż samego cisowego drzewa, biegły w dwa rzędy przez całą świetlicę, a przed niemi ławy, usłane kosztownemi futrami, zapraszały godnych gości do wywczasów.

Na wieczerzę nie trza było długo czekać. Skoro tylko patrycyusze usadowili się należnie na ławach, czeladź poczęła wnosić misy olbrzymie, napełnione mięsiwem smakowitem. Na każdych trzech gości przypadała jedna misa. Wnet rozhowory zamilkły i przezacni milczkiem kąsali pilnie skopowinę, wołowinę, wieprzowinę, gęsi, indyki i inne drobne ptactwo. Flakami się to wszystko przeplatało, dobrze szafranem przyprawionemi.

Marek nie lubił piwa, więc dla gości wystawił dwugarncowe dzbany, sam zaś popijał wodę.

Kiedy już wszyscy dobrze sobie podjedli, czeladź wyniosła wielkie stoły i rozpoczął się taniec klaskany, przeplatany wdzięcznemi piosneczkami.

Domarad, że grał pięknie na cytarze chwycił się tego instrumentu. Przeszła chwila rozhoworów, wtedy Domarad brzęknął z innej struny i pieszczotliwe jak trele słowika, popłynęło pienie. Matrony nawet nadstawiły uszy, a nadobne dziewice zaklaskały w dłonie od uciechy. Poważni radzieccy przerwali gawędy, zamorskie kupcy umilkły. Marek skinął ręką, i Domarad znów począł śpiewać.

Treścią pieśni były powszechnie znane wówczas, a głoszone przez wędrownych dziadów-lirników — żale nieszczęsnej Ludgardy. Kiedy Domarad skończył, radzieccy zbliżyli się do Marka, pytając, kto jest ów wyrostek-przybysz.

Marek opowiedział jak i co było z chłopcem, pokazał klejnot z wyrzezanym piętnem, nie przepomniał wspomnieć o nadzwyczajnej sile i odwadze, jakiej chłopiec dał dowody przy pasowaniu się z niedźwiedziem, który się urwał z łańcucha wędrownym kuglarzom i wpadł rozjuszony na matkę Agnieszkę, wreszcie kończył tak:

— Niech jeno Witkon od księcia z Krakowa wróci, pojadę do stryjców chłopca i po dobroci prosić będę, żeby dali należną opiekę i zabezpieczyli dziedzictwo, jakie mu z prawa po matce przynależne jest.

— Daremnie się trudzić będziecie — wtrącił Wąchal, który zajmował urząd trzeciego ławnika w mieście i miał w rynku największy skład sukna.

— A czemuż to? — pochwycił gorąco Marek.

— Wiadomo, że rozmaitych łotrzyków z obcych krajów na naszą stronę kupy całe wędrują. Podrabiać oni potrafią nie tylko denary, grosze i grzywny, ale i pieczęcie książęce...

— Tedy co?—przerwał zaogniony Marek.

— Tedy nie wszyscy dadzą wiarę, że klejnot jest rzetelny.

— Patrzaj bystrze i świadcz: rzetelny czy nierzetelny?—powstał żwawo Marek i podsuwał pierścień pod oczy.

Wąchal wzruszył ramionami i zjadliwie się uśmiechnął.

— Nie moja to sprawa teraz. Na ucztę jestem wezwany, nie na sądy. A przecież i prawo książęce zakazuje po zachodzie słońca niepokoić starszyznę miejską sądami.

— Prawda! wspomniałem teraz dopiero, żeście pokumani z Rożkami, z siostrą Jacentego żeście ożenieni...

— Tak jest, w sedno żeście trafili. Dlatego też muszę bronić części ich rodu jako swego.

— Człeku zastanów się!—wrzasnął Marek.

Możeby przyszło zaraz do zwady. Szczęście, że matka Agnieszka odwołała Owcę i oznajmiła, iż rozśmieszyciele przyszli i czekają; gotowi są poczynać zabawne sztuki ku uciesze przezacnych gości. W tej chwili buchnęły płomieniem jaskrawym beczki smoły, zamigotały rozpalone pochodnie. Zabrzęczały dzwoneczki, ozwały się lutnie, zapiszczały ligawki. Zabawnisie głośno się szykowali do rozpoczęcia widowiska; predrzeźniacze i naśladowcy śpiewu ptaszego darli głosy wrzaskliwie. Cała też gromada gości wytoczyła się na obszerny, czysto zamieciony i oświecony dziedziniec.

Marek, zbity z tropu, oświadczeniem Wąchala, poszedł na rozmyślania w głąb sadu, kędy była już ciemność szczera i rozgłośne wykrzykania kuglarzów nie dosięgały. Siadł na kamieniu.

— Sprawiedliwie przeczuwałem, że chłopak będzie miał przeprawę ze stryjcami. Chytry to lud, na dobytek wszelki łapczywy, nie łatwo przyjdzie ich pokonać.

Łamiąc w ten sens głowę, usłyszał szelest za sobą. Obejrzał się, jakaś postać szła ku niemu.

— Kto?..

— Nie gniewajcie się — przemówił Domarad — to ja. Cały dzionek niema was w domu, a ja mam do przedłożenia wielkiej wagi prośbę, ojcze Marku!

— Powiadaj...—przyzwolił krótko Owca.

— Sierota po Rościsławie ostała bez niczyjej opieki.

— A ty zkąd ją znałeś?

— Chodziłem na stare miasto, pod klasztor, a on tam codzień z wnuczką przychodził.

— Naschwał był to chłop i rycerski i ludzki i możny. Czterech synów i żonę ustrzelili mu Tatarowie, córkę i synowę uprowadzili w jasyr, jako twoją matkę. Z boleści tej rozum mu się pomieszał i z tego umarł. Ale ty się nie frasuj o jego wnuczkę—Zochnę. Mówiłem już dziś z przeorem, jutro matka Agnieszka pójdzie do klasztoru i zabierze ją pod swoją opiekę.

Chłopak padł Markowi do nóg.

IV.

Był zwyczaj w starożytnym Sandomierzu, że co miesiąc, po jarmarku, zbierali się w gospodzie pod Wiechą kramarze i cechmistrze przeróżnych rzemiosł. Każdy cech miał swoje ławy i stół dębowy, na którym stał odpowiedni patron. I tak: stołu kuśmierzów strzegł od złej przygody wizerunek ś-go Kazimierza, — rybaków ś-go Marcina,— kowali ś-go Karola, — mieczników ś-go Józefa,— szewców ś-go Walentego i t. d. Sierdził się na takowe gromadne zbieranie w jednej gospodzie cechmistrzów Owca, bo często do krwawych przychodziło rozpraw, a kiedy tumult w izbach powstał, to zdawało się, że i wizerunki świętych patronów walały się na ziemi, pod stopami stron powaśnionych. Przeor

O. Dominikanów, z tej samej racyi, gromił z ambony grzeszników...

Ale zwyczaj długie jeszcze lata zwyczajem pozostać miał..

Duszno już było w izbach od parowania rozgrzanych czupryn, coraz głośniejsze wyrywały się wiwaty, kiedy z ulicy drzwi się rozwarły i do izby wszedł ławnik Wąchal, otulony w długą opończę. Kiwnął ręką na szynkarkę, ta wnet przybiegła i szepnęła:

— Czeka już dawno—w małej izbie za sienią.

Niepostrzeżenie minął Wąchal koło biesiadników, zasłaniając twarz dużemi krezami od kapelusza, przeszedł ciemną, wązką sień, namacał okute drzwi, zapukał kordem.

— Proszę!—ozwał się gruby głos.

Wąchal pchnął drzwi. Pod ścianą siedział mężczyzna średnich lat, krępy, barczysty, z sierdzistym wąsem, nad misą jadła i dzbanem piwa.

— Myślałem, że się już was nie doczekam.

— Cały dzień na ratuszu siedziałem—odparł Wąchal, zrzucając z siebie opończę. Witkon wrócił z nowemi łaskami dla siebie na pergaminach. Od jutra

będzie nakazane, żeby każdy cech uzbroił swoją basztę w kusze, kopie, łuki, drągi i cepy.

— A kogóż, do biesa, oni się strachają?

— Tatarzynem grożą, Litwą, jadźwingami... Bóg wie nie kim!

— Dobrze im z tym, bo za nieposłuchanie z pracowitego ludu ciągną pieprz, szafran, wosk, ba! nawet grzywny.

— Prawdę mówisz, Jacenty... Kmieci z miejskich wsi każą ściągać, na zamek, żeby ich przyuczać do łuku i kuszy.

— Niedoczekanie!—huknął pięścią w stół Jacenty.

— Trzebaby te nowiny najśpieszniej rzucić między cechmistrzów i pospólstwo.

— Witkon posłuchanie u nich ma: trza wiarę w niego osłabić.

— Wójta ostawmy do czasu na stronie. Niech się larum całe zwali na Marka Owcę.

— Człek ten z włóczęgi leśnego na udzielnego dziedzica wyszedł. Miast miody podbierać, murowaniem sią zabawia i miejskie rządy w garści dzierży na krzywdę pospólstwa, młodszych i starszych stanów. A wróg największy on—to już naszego rodu...

Jacenty zamilkł, bo weszła szynkarka, niosąc dwa duże dzbany przedniego piwa.

— Poruszaj rozumy przez gospodynią — szepnął Jacenty w ucho Wąchalowi. — Ona najlepiej te iskry rozpali w pożary, przy których my swoje mięsiwa upieczemy.

Wąchal potarł szeroką dłonią czoło i zwrócił się twarzą do szynkarki.

— Ludno a wesoło w gospodzie, to i denarki, jako woda do kaletki płyną.

— — Żartujecie sobie — odparła żwawo niewiasta. — Radzieccy zakazowują starszej braci zbierać się w gospodach, dobrze o tym wiecie.

— Święta to prawda! I dzisiaj Marek Owca, wójta podmawiał w tym przedmiocie, całe to szczęście, że nie wszyscy chętnie chcą iść za złego ducha poszeptami.

— Ten kraczoch—zawołała szynkarka—do nędzy ludzi chce prowadzić, a sam grzywny dusi!

— O sztuczniejszych jeszcze rozmyśla on sidłach, w które łowić będzie chudobę ludzką...

Powiedziałbym, ale wiedząc, że u białogłów język długi, tedy przemilczeć wolę.

— Nie mówcie, na miły Bóg!—wtrącił zdradliwie Jacenty.—Z kozła on stał się owcą i zrobili go ogrodnikiem.

Szynkarka wzięła się pod boki, spłonęła na twarzy.

— Z pokłaków do bławatów człek ten przyszedł—wiedzą o tym w mieście. Do gospody nie chodzi, ale kiedy u siebie uczty dla zamorskich kramarzów wyprawuje—trzy razy do jadła zaprasza. Piwo a miody stągwiami wnoszą, całe ćwierci wołów idą na stoły, a ile kiełbas, dorotek, gęsi, kapłonów topi się w tłustości, nie zliczyć! Przed przeorem świętego udaje, a wiedzą ludzie, że u kata mu kraj, u szubienicy koniec.

— Nie krzykajcie za głośno! Wielkie on ma posłuchanie u Witkona, a przez wójta i u księcia—przestrzegał Jacenty.

— Szykuje on nowinę, bo szykuje. Dzisiaj brać pije, a jutro, pojutrze zaskoczą ich nowe porządki.

Szynkarka nadstawiła uszu, bo Wąchal zniżył głos i udał, że mówi szeptem do Jacentego.

— W łuczników młodszych i starszych braci cechowych przemieniać poczną. Na dziedzińcu zamkowym przyuczać się będą do obrotów rycerskich. - Baszty zaopatrywać muszą.

— A kiedy nie stanie naszej braci przy miechu, kopycie, warsztacie... Niemcy za nich będą kuć grzywny dla siebie.

— Oto jest!

— Biada nam!

— Gorze im! — wykrzyknęła białogłowa i wybiegła z izby.

Wąchal i Jacenty spojrzeli sobie w oczy, popili piwem, i pary z gęby długi czas nie wypuszczali.

Nareszcie Jacenty począł.

— Skroiliśmy kurtę... Teraz jeno baczenie dawajmy.

— A trzeba się opatrzeć i z innej strony, — poderwał Wąchal,—o onego wyrostka, którego przezwał Domaradem. i Witkon już mnie zagabywał.

— Skręcić łeb temu kurowi...

— Nie kur on, lecz żbik, a z takim nie dać sobie rady. Rozpowiadają, że niedźwiedzia pokonał.

— To ludzi na niego nasadzić, co najtęższych dwóch...

— Ruszyliście rozumem, jak kurta ogonem. Innej tu rady trzeba, nie gwałtu jawnego, który się udać może, albo nie... Wtedy nas czeka wieża, potem pień.

— Trzeba jednak radę dać. Ten wyrostek klejnot ma, a Witkon dobrze sprawy pamięta... Torby nas czekają; wszystko to jego—nic nasze!

— Posłuchajcie, Jacenty, mego słowa. Cechmistrze mogą skrzyknąć pospólstwo i ruszyć na jawnego wroga. Tedy nasi ludzie baczenie muszą dawać i klejnot staremu odebrać. Gdy się to stanie, choćby Witkon i do Czarnego poszedł, przewlecze się sprawa.

— Przewlecze, ale nie uciecze...—bąknął Jacenty.

— Tymczasem ciągle mamy pilnować wyrostka a znajdzie się sposobność, wtedy choćby po tatarsku arkanem sprawić się należy.

Radzili tak Jacenty z Wąchalem. Tymczasem w wielkiej izbie gospodniej, szynkarka dmuchała iskry na łuczywo.

— Nie kuśmierz on— wołał cechmistrz krawiecki —i nie pójdziemy do niego, jak liszki.

— Drze z nami koty, tedy hajda, kupą na niego!—wołał zapalczywie cechmistrz szewcki.

— Inny szewiec, inny kuśnierz—przekrzyczyć się starał krawiec.

— Kwapcie się zwolna cechmistrze, na dobro Marka, bo on nam nie całkiem wróg—podniósł sukiennik.

Szynkarka kazała pachołkowi otworzyć piwnicę i z lochów, na pasach, wyciągnięto przedniego miodu beczkę, jedną i drugą. Kufliki się napełniły i złoty napitek płynął do gardzieli.

Wąchal z Jacentym wymknęli się cichaczem.

— Czuwać, nam dzisiaj, czuwać! —jeden drugiego zachęcał, kiedy się rozstawali na rynku.

V.

Zarzewie, rzucone zdradziecko ręką Wąchala i Jacentego, nie rozpaliło się jednak natychmiast w płomienie. Szynkarka przebrała miarę w częstowaniu gorącemi napitkami, stąd cechmistrze, mając ciężkie głowy, zaniechali rozbioru spraw publicznych. Przepomnieli tedy o Marku, a natomiast kowale poczęli wychwalać kleszcze, krawcy nożyce, a za niemi, już żarty poszły za żartami... Sporo czasu zbiegło na takich rozhoworach, a kiedy pachołkowie nocni oznajmili klekotkami gospodarzom, że czas opuszczać gospody, na bety do domu śpieszyć, ruszyli się senni z miejsc, stawiając w zygzak nogi; ten i ów okrakiem ciągnął, jako postrzelony żóraw.

Nie spał tej nocy Marek Owca, jeno przewracał się na pierzynach.

Witkon trwożne przywiózł nowiny, które groziły pożogą i krwi rozlewem! Świętobliwy przeor franciszkanów krakowskich widział we śnie, jak na jawie, rozdarte niebo nad ziemią sandomierską, ziejące ogniem; woda w strumieniach i rzekach, od rozlanej krwi, czerwieniła się szeroko; słyszał jęki mordowanych niewiast i dzieci... Książę Leszek wziął gorąco do serca srogie przepowiednie i nakazał przyśpieszać wykończanie baszt, fos i muru zamkowego.

Pospólstwo też miejskie miało stać w pogotowiu wojennem, aby każdy cech umiał sprawnie swojej baszty bronić.

Wiedział okrom tego Marek, od kupców halickich i włodzimierskich, którzy z suknem przybyli, że Tatarowie osiadli na Rusi, gorączkowo, na łeb na szyję, przedają ludziom swoje dobytki i uciekają tłumnie na dzikie pola, do czarnego lasu, na wierzchowiska rzeki Ingulx. Tam zapadają koszem, dopóki się wszyscy nie zbiorą... Jestto znak pewny, że krwawa szarańcza straszną chmurą się podniesie i pociągnie czarnemi szlakami, na ziemie chrześcijańskie...

— Sandomierza nie ominą!—wzdychał ciężko Marek.—Co nie, to nie... Rozleją się na złotych niwach szeroko. Biada ci, narodzie!..

— A czego ojcze, Marku, sen się was nie ima?—zapytał Domarad.

— A ty czego nie śpisz?—zgromił surowo Marek.

— Nie łajcie, Marku... Spałem. Lęk jakowyś podniósł mnie na nogi. Przecierałem się długo, aż wreszcie zmiarkowałem. Kłęby robactwa niezdrowego obsiadły wam duszę... A czemu to złoty tatulu?...

— Smarkulu spać! a nie gruntować, dlaczego we dnie Bóg przez sito rzuca złote, a nocami srebrzyste blaski...

— To nie moja głowa... Ale słuchy mam, tedy zmiarkowałem snadnie, że Tatarzynów się boicie.

Podniósł się na betach Marek i krzyknął:

— Nikt się tu nikogo nie stracha, najokrutniejszej bestyi nawet—Bogarodzica z nami!! Czuj duch!

— Widzicie, ja się wam nie potrafię wysumitować. Kłębicie się w betach, tedy miarkuję snadnie, że robactwo oblazło wam duszę trwogą czy żałością.

— Mocnyś ty w pięści, ale na rozum nie bierz wszystkiego, bo nie zdzierżysz.

— Zdzierżę ojcze. Do Tatarzynów przywykłem.

— A to jak?

— Macierz ciągle mi o ich okrutnych twarzach mówiła. We mnie zawziętość rosła. Wreszcie, kiedy ta moja najdroższa umierała, w gardzieli mi zamarło. Uniosła się ona jeszcze ostatni raz, zawróciła szkliste oczy, wyprężyła białe, jak marmury ręce i tak jej te ręce, na mojej głowie opadły.

— Domaradzie, święte to wspomnienia — ozwał się Marek — ale zaniechajmy je.

— Święta byłaby pomsta.

— Nie pomstować, jeno przebaczać, ojciec przeor i Chrystus Pan nakazuje.

— A macierz moja prawiła z jękiem: ty nie pójdziesz do Sandzimierskiej ziemi, boś urodzon na obcej. A ja rzekłem: pójdę i Tatarzynów wyłuszczę za twoją niedolę. Wtedy cisnęła się. Łzy spadły na jej jagody, wzrok na mnie zwróciła jak anioł i szepnęła: „Idź!“ Skonała, a jam przysiągł: pójdę...

— Nigdy nie ma grzech końca dobrego.

— Takto, ojcze! przerwał gorąco Domarad,—że Tatarzynów przysięgałem gnębić—to mam się kajać.

— Głupiś! Tatarzyny jeżeli tu przyjdą, tysiąc ludzi w ścierwo dla dzikiego zwierza się zamieni.

— Owa! ale i ich padną większe gromady.

— Szkoda każdej miarki krwi chrześcijańskiej.

— Dzieciuch jestem, a jednak miarkuję tak, p słuchajcie. Dlaczego Tatarzyn napada na nasze strony

— Dobytku wszelakiego Bogarodzica wiele da tutejszym ludziom, a innym poskąpiła, tedy ciągną z z morza na błogosławione niwy.

— Ale też i Matka Najświętsza— zawołał Dom rad—rozkazała wstręty czynić niegodnym.

— Kiedyś taki chwacki, to jutro pójdziesz n dzieciniec zamkowy i przyuczać się będziesz do łuk i kuszy.

Na słowa te Domarad podbiegł do Marka i uca łował go gorąco. Potem zamilkli. Domarad chci jaknajprędzej tłuc Tatarzyna, a Marek dumał i odwro cić pragnął klęski.

Skoro świt zerwał się Domarad. Niedługo i Ma rek pobiegł do stawu: zanurzył się raz, drugi, trzec odprawił pacierze i ruszył wraz z Domaradem na gór zamkową.

Miasto spało. Od lasów szedł zapach ziół. Srebrna rosa tuliła się do zielonych liści, traw, kwiatów—słońce wynurzało się wyżej i wypijało chciwie, nawet z kielichów róż, boski napój. Po niebie chmurki szły coraz jaśniejsze, jak gołębie białe. Wisła parowała. Opary ginęły—w słońcu. Ptaki rozliczne zawodziły pieśni orzmiące.

Domarad, wchłaniał w siebie zapachy z pól i lasów. Piękna, cudna ziemia — szeptał.

Marek pospieszał. W tym ujrzał postać wyniosłą na murze.

To Witkon pracowity już zerwał się z betów do oracy.

— Witaj, Marku!—W tej chwili ozwał się. A kogóż to z sobą wiedziesz?

— Nie pomoże mu już ani rózga, ani konopie — uparł się i musiałem go przyprowadzić, żeby się wprawiał w rzemiosło wojenne. Okrutnie chciwy Tatarzynów—przedstawiał Domarada Marek, Witkonowi.

Spojrzał bystrze Witkon na wyrostka i łupnął się w czoło.

— Ach to ten!—zawołania białej róży.

— Ten sam.

Kiwnął głową wójt, przenosił wzrok z sinej pary unoszącej się nad Wisłą, to na Marka to na Domarada

Wreszcie brwi mu się sfałdowały groźnie.

— Nikt tu nie wierzy—krzyknął— w rychłe najście. Zarządy moje nawet baby wydrwiwają.

Spotniał Domarad, zasępił się Marek.

Podniósł głos wreszcie: — Takich dużo jest, co na gruszce chcą kopać rzepę...

Zmieniła się w tej chwili twarz Witkona. Jasne ją promienie słońca oblały. Widząc w takiej światłości wójta, Domarad rzucił mu się pod stopy.

— Ja jeno chcę tej ziemi być synem godnym. Tak mi rodzicielka nakazała.

— Będziesz— podniósł go wójt.—Będziesz!...

Spokojnie dzień upływał. Po obiednim posiłku przeszedł Marek wraz z kilkoma robotnikami na basztę zawichostką; inni ostali w głębi zamku, a Domarad sam jeden wysunął się aż na szczyt wielkiej stromej góry. W dole pod stopami miał fale Wisły, nad głową niebo. Napiął łuk, bo nad falą, daleko uniosła się czarna kawka.

Wymierzył, strzała ze świstem przeszyła powietrze, biedna kawka wywinęła parę kozłów i spadła ciężko jak kamień do wody.

— Szkoda,— powiedział sobie wyrostek,— że niema Marka, ucieszyłby się, widząc na jakiej przestrzeni, w locie bije ptaki.

W tej chwili, nie wiadomo skąd wzięci, stanęli przy nim dwaj ludzie, olbrzymiego wzrostu, ogorzali i zarośli czarnemi włosami, jak zwierzęta dzikie. Nieznajomi, lubo pozdrowili Domarada słowem chrześcijańskim, chłopcu jednak tak się głupio na sercu zrobiło, jakby go lęk obleciał.

— Widzieliśmy ozwał się jeden—twój strzał.

A drugi zaraz dodał.

— Ręka, co tak potrafi łuk naciągać, musi być mocy nadzwyczajnej.

Domarad uczuł niechęć do tych ludzi, przeto milczkiem posunął się w bok, żeby przejść na fosę, na której ludzie pracowali.

Aliści i nieznajomi skręcili na prawo i z dwóch stron zaszli mu drogę.

— Czemu to od nas odchodzisz?—zapytał wyższy.

— A wy czemu mi drogę zastępujecie? Czy to mi niewola z wami przestawać.

— Tak wyglądasz, jak byś się czarnej krowy bał.

— Moja sprawa, kogo mi się bać! A wam nic do mnie. Idźcie swoją drogą, mnie na zamek trzeba.

— Zaczekaj, bo jeszcze na podwieczerz masz dosyć czasu.

To mówiąc, włóczęga obrócił w ręku maczugę, nabitą ostremi kamykami. Domarad się schylił i tym fortelem ciosu okropnego uniknął. Potem zerwał się, odsadził na parę kroków, stanął mocno pod rozłożystem drzewem. Napiął łuk, zmierzył się—strzała furknęła, i włóczęga, który chciał mu głowę strzaskać maczugą, zwalił się z nóg.

Towarzysz jego wrzasnął, niby dziki zwierz. W tej chwili, jakby na oczekiwane hasło, wyłonił się z za góry Wąchal.

Pędem biegł, krzycząc: „Imaj! trzymaj! zbójnika.“ Od strony zamku również spieszyli kopacze.

Domarad nie miał czem zastawić się, a napinać łuku nie było czasu. Chciał się wdrapać na drzewo.

Wyprężył członki, szykując się do skoku, aby uchwycić gałęź, lecz w tej chwili kropnął go po nogach maczuga

ajbliższy włóczęga. Wielki ból uczuł w goleni. Rę-
ami zasłonił głowę. Drugi raz spadła nań maczuga.

Domarad się zachwiał, ale przytomność go nie opu-
iła. Skurczył się i ile miał mocy tryknął strasznie głową
łono włóczęgę. Zwalili się obaj i poczęli tarzać po
iasku. Wreszcie włóczęga, uchwycił Domarada za
łosy, a drugą ręką ściskał mu gardło. W kleszczach
kich wyzionął by pewno wyrostek ducha, gdyby nie
pacze...

VI.

Domarad ocucił się pod ratuszem w piwnicy, jako że godził na życie nieznanego człeka.

Tłumaczył się wyrostek, że go maczugą po głowie chciał uderzyć włóczęga, że on tylko musiał się bronić i miał to przekonanie, że owi dwaj byli to nasłani ludzie, którzy mieli cel godzić na jego zdrowie, a może i życie. Wąchal jednak poparł włóczęgów i zeznawał, że są to spokojni ludzie z przedmieścia. Kopacze nic nie umieli powiedzieć. Tymczasem postrzelonego włóczęgę kurował troskliwie Marek. Bo niechby, uchowaj Boże! człek ten zmarł, sprawa stałaby się gardłową, a wtedy i sam Witkon nie potrafiłby obronić wyrostka.

Łamał sobie głowę Marek, nad sposobami wydo-
ycia z piwnicy Domarada. Fortele jednak rozbijały
się o twardy upór postrzelonego włóczęgi.

— Iwonie!—rzekł raz Marek do włóczęgi.—Nie
chcę dochodzić, dla jakich racyi żeście wespół z Mateu-
szem napadli na Domarada.

Iwon uniósł się z betów i zaklinając na patro-
nów świętych, z jękami zeznawał, że to właśnie Doma-
rad obrał sobie w nich cel do pocisków.

— Zanim on pojdzie na haki, ciebie na męczarnie
wezmą. .

— Jakże to! — przerwał Iwon, — Ławnik Wąchal
wszystko dokładnie widział, jego świadczenie mam za
sobą.

— Przy głównem badaniu wyjdą na jaśnie takie
sprawy, które unicestwią świadczenie Wąchala.

Po zarośniętej i poczerniałej od słońca i dżdżu
twarzy Iwona przeleciał ogień niepokoju, przerażeniem
zaświeciły oczy.

Spostrzegł tę zmianę Marek i zaraz dodał:

— Po dobroci jednak chcę sprawę z tobą zała-
twić; nic mi potem, że cię wezmą na męki. Odwołaj
przed wójtem dochodzenie swoje, wyliczę ci zaraz 2

grzywny okrągłe, skórkę stemplowaną kunią dam i dzie-
sięć skórek wiewiórczych.

Źle postąpił Marek, że się pokwapił z tak sowi-
tem wynagrodzeniem. Na chytrego człeka trafił, który
odrazu zmiarkował, że od Marka będzie można wy-
ciągnąć dużą majętność, więc się zaciął i o zgodnem
załatwieniu sprawy nie chciał mówić.

Tymczasem w gospodzie pod wiechą, znany nam
Wąchal, w odosobnionej izbie szeptał na ucho Jacentemu.

— Jak przepowiadałem, tak się stało. Wyrostek
nie dał się dwom nawet drabom, których odwagę i moc
samiście wypróbowali.

— Uszedł tedy cało? Jakże to się wydarzyło? —
gorączkowo pytał Jacenty.

— Ba! żeby to uszedł! Ale jednego postrzelił
z łuku, a drugiemu wnętrzności w żywocie nadwerężył.
Dzięki tylko przebiegłości mojej wyrostek zawleczon
do piwnicy pod klątwą zbójnika.

— Marek go obroni — przerwał Jacenty.

— Właśnie!...

— Trzeba pracować głową, żeby go z piwnicy
w nasze oddano ręce.

— W sedno utrafiliście. W Rożkach już sobie z nim dacie radę.

— Mateusz w starem mieście pospólstwo na nogi podnosi. Kotłuje się tam, jak w garnku na ogniu, przeciwko wójtowi.

— A oni czego chcą?

— Że to niby wójt na roboty ich pędzi, od gospodarki odrywa: głód powiadają — straszniejszy nam od Tatarzyna.

— Nam nic do wójta — Marek bróździ.

— Cichaj i baczenie dawaj na to, co mówię. Mateusz postrzelenie Iwona rozdmuchuje w ciężkie przewinienie. Krzyczy, że chudziny nie mają opieki, jaką warują im przywileje książęce. Pierwszy lepszy krewniak, tego lub owego Marka, strzela i krzywdzi na zdrowiu w biały dzień ludzi, jak dzikie ptactwo, bezkarnie. Lud ma prawo domagać się, żeby mu zbójnika wydano dla pomsty słusznej.

— Aha! przerwał Wąchal. A jak go Marek ukryje w lochach, a Witkon lud zbrojnymi rozpędzi.

— I to prawda. Ale mam w zanadrzu jeszcze jeden arkan. Trzeba, żebyście nie ruszali się krokiem z miasta i nie spuszczajcie Marka z oka. Gdyby już

zła sprawa z tej strony była, nakłońcie starego, niech nam wyda w przebraniu chłopca, że go to niby ukryjecie w Rożkach. Wtedy sam Lucyfer go nam nie wydrze!

Zaśmiał się Jacenty z całego gardła.

— Oj Jacenty, Jacenty—podniósł wesoło Wąchal.— Nie układano wam widłami w głowie, a przecież wszystko wam trzeba wyłożyć dokumentnie. Nie palcem, lecz całą łopatą, pokazać wam trzeba nim zobaczycie.

— Napijmy się!—krzyknął Jacenty na szynkarkę.

Kiedy stryjeczni Domarada taką pajęczynę snuli w gospodzie, narzędzie ich główne, Mateusz zbierał ludzi do kupy i krzyczał: „W głowie szum, w kościach łam, w mieszku trwoga, ratuj dla Boga!“ W zaślepieniu swem nie baczyłmy, co łopian, a co pokrzywa. Złotą łopatą torują lunarze sobie drogi do łaski książęcej, a tymczasem łoktuny ostatnie z nas spadają!

— Breszesz! — ozwał się dzwonnik z kościoła Ś-go Pawła. Jedna święte i świeckie w dół garnie łopata.

— Próżna rzecz w lesie ryby łowić — splunął Mateusz.

W tej chwili z za lasu wysunęła się gromadka ludzi i szła prosto na stare miasto.

Dziwny to był tłum, z rozmaitych nacyi złożony i różnemi mowami śpiewał pieśni.

Większość miała głowę osłonioną jak mnichy, szaty po pas opuszczone, tak że gołemi świeciły plecami i piersiami. Szli gęsiego, jeden za drugim, biczując wzajemnie zakrwawione barki dyscypliną o ostrych kolcach i guzach.

Pospólstwo miejskie wysypało się jak mrowie na drogę i otoczyło ciasnym pierścieniem biczowników.

— Czas kary i czas pokuty przyszedł—wołał jeden z nich, blady i wysoki jak topola. Lucyfer—i Chrystus w rychle po ziemi będą chodzić. Kto uwierzy w Chrystusa i pójdzie za nim, na podobieństwo nas obnaży ramiona i twardym rzemieniem kajać się będzie, ten zbawienia dostąpi.

— Większe gromady poprowadzi za sobą Lucyfer w czeluści piekielne, a ci wszyscy na wieki wieków, w jarzącej smole pławić się będą...

— W ten sens prawił biczownik, oblany krwią własną, a mężowie miejscy padali na kolana; białogłowy, zawodząc głośnym płaczem, tarzały się w prochu, całując poplamione krwią stopy pokutników. Procesya z jękiem, płaczem, z dzikiemi pieśniami i wrzawą rozgłośną szła na okopy miejskie. I zatrzymała się nagle ta ruchoma fala ludu, i straszny ryk wydarł się z tysiąca piersi, aż odbił się złowrogo o kopułę niebieską.

Bramy miejskie były zamknięte. Na murach stali kopijnicy w zwartym szeregu. Między łucznikami był sam Witkon z przeorem O. O. Dominikanów.

To dzwonnik kościoła ś-go Pawła, jak tylko postrzegł nadciągających biczowników, pędem uwiadomił o tem przewielebnego przeora.

Ten wnet ruszył, nie zwlekając do Witkona i przedstawił wójtowi, że ma rozkazanie biskupa krakowskiego, oparte na wyroku papieskim, aby biczowników do kościołów nie puszczać, jako rozsadników fałszywej wiary, przywłaszczycieli bezprawnych rozdawania ludowi Sakramentów świętych. Witkon też wiedział, że ci ludzie sieją bunty i nienawiści. Odwołują pospólstwo od znojnej pracy. Kazał tedy bramy zamknąć i sam z przeorem poszedł na mury.

Pospólstwo podbechtywane przez Mateusza i rozjątrzone jękami biczujących się biczowników, śmiele podeszło pod bramę; inni poczęli się wdzierać na mury.

Jedni dzierżyli w twardych rękach siekiery, inni haki, tamci drągi żelazne, maczugi albo kije dębowe.

Zmieszany Witkon spojrzał na przeora:

— Siłą chcą dobywać się do miasta. Szkoda mi tych ludzi—dodał— nie mogę zezwolić na rozlew krwi bratniej, która może za dni niewiele będzie nam potrzebna do obrony świątyń Pańskich i dobytków ludzi świeckich, przed najazdem dzikich Mongołów.

Przeorowi pociemniała twarz, zmarszczył sobole brwi i rzekł groźnie:

— Nie warci są oni zmiłowania Boskiego, ani ludzkiego. Tyle już wieków rzuca się tu siejbę wiary świętej, a owoców trwałych nie widać. Byle podmuch wiatru, zrywa wątłe te kwiaty i po piaskach roznosi...

Urwał nagle świętobliwy mąż, schylił białą głowę na piersi, a woskową twarz zwarzył ból i żal. Długą chwilę mocował się z sobą, znać było, że się koi przed Panem, za gwałtowność i porywczość. Potem padł na kolana i odmówił głośno krótką modlitwę: „Bogarodzico, dziewico, Bogiem sławiona Maryo...“

Wstał przeor, podniósł wysoko rozjaśnioną twarz, jakby Ducha Świętego blaskami i poszedł na krawędź murów. Pospólstwo wnet zobaczyło jasną postać starca.

Podniesione siekiery opadły; młodzi i starzy pochylili głowy. Przeor błogosławił wszystkich znakiem krzyża świętego, wreszcie jął mówić:

— Dał wam Bóg kapłanów, biskupów i pasterzów duchownych, którzy was prowadzą i nauczają, bo umiłował was Pan więcej, niż inne nacye. Otrzymaliście od Pana żyzne łany, piękne winnice, obronne grody i bogate miata. A wy cóż czynicie? Miast utwierdzać swoje wieże i bramy, póki macie odpocznienie od najazdów okrutnych hord, uzbroiliście ramiona wasze w siekiery i berdysze, ażeby w gruzy obalać, co pracowita ręka pokoleń wzniosła. Jakieś zaślepienie unosi cię, narodzie! Dla samozwańczych kapłanów, którzy nie mają na sobie Sakramentów świętych, sakramentami chcą was obdzielać; dla nich młotami rozwalacie bramy miasta, odrzwia świątyń pańskich?... Biada wam! po trzykroć biada!...

Wysunął się tłumu Marcin Cwiek, kmieć osiadły na gruntach miejskich. Uderzył po trzykroć czołem o ziemię.

Naród umilkł, przeor skinął ręką. Cwiek po drabinie sznurowej wdrapał się na mury, padł do nóg ka-

płana, powstał i donośnym głosem, wolno począł wykładać rzecz swoją:

— Niech będzie pochwalona Bogarodzica z Dzieciątkiem swoim. Niech będzie pochwalony Bóg Ojciec, co losy światów, ludzi i wszelkiej gadziny i wszelakiego ziela dzierży w prawicy swojej.

Nie wyznawców obcych bogów osadzać my chcemy w świątyniach naszych. Te łże—kapłany, co stoją na dole, skąd przyszli, to i pójdą. Nie dla nich to chcemy rozwalać bramy!...

O, pasterzu, najmiłosierniejszy, wysłuchaj nas i przedłuż żale nasze starszyznie radzieckiej.

Tu znów Cwiek trzy razy uderzył czołem. Podszedł bliżej Witkon, za nim Marek, a kmieć, osiadły na gruntach miejskich ciągnął:

— Krzywda dzieje się pospólstwu, krzywda dzieje się narodowi... Już trzy niedziele, jak nieznany, obcy wędrownik, ustrzelił przy jasnym słońca blasku jednego z naszej gromady. Domagamy się sądu, niech radzieccy wydadzą go gromadzie, by ta nad nim słuszną pomstę wykonała.

Zbladł Marek. Sprawa potoczyła się najgorszą koleją. Lud domaga się sądu i kary, przeto nic

w świecie wyrostka od mąk i śmierci haniebnej nie uratuje. Witkon czarne, gęste brwi zmarszczył. Słuchał jeszcze wywodów kmiecia chwilę, potem zdjął pierścień swój z palca, oddał go Markowi niepostrzeżenie i rzekł:

— Spieszcie do piwnicy. Instygator za okazaniem mego klejnotu wyda wam chłopca. Do was należy ukryć go, gdzieś głęboko, we własnym domu. W piwnicy przebieżcie go tak, żeby ludzkie oko nie widziało, bo inaczej śmierć mu pisana. Michał lochami wyprowadzi was na żydowską stronę.

Marek jak młodzieniec kopnął się w stronę rynku, a Witkon zbliżył się do przeora...

VII.

Zmierzchało już, kiedy na skręcie żydowskiej dro-
gi, nagle jakby z pod ziemi wyrósł Marek. Tuż przy
nim szła postać dziwaczna: ni to chłopak, ni dziewu-
cha, ni człek, ni białogłowa. Marek nie oglądał się,
przyśpieszał o ile mógł kroku, gdy w tem wyszedł
za węgła Jacenty i szedł wprost na Owcę. Widocz-
nie Marek chciał uniknąć spotkania, bo przeszedł na
drugą stronę, wtedy i Jacenty obrócił naprawo i znów
szli na siebie.

— Skaranie Boże,— mruknął Marek — widocznie
człek ten nie chce mnie minąć.

— Bracie Marku—ozwał się nad uchem Jacenty—
pewnikiem spadną dżdże, bo psy trawę łapią.

— Może i spadną, ziemia się orzeźwi — odparł krótko Owca i szedł dalej.

Jacenty przystanął, jakby się wahał; zawrócił i wnet zrównał się z Markiem.

— Dwa razy dziś byłem u was.

— A to po co? — szorstko zapytał Marek.

— Względem rzekomego siostrzana naszego, któremu daliście schronienie u siebie.

— Wąchal już go się wyparł i okrzyczał, że to ladajaki przybłęda. Zrazu chciałem dochodzić praw chłopca: miałem do was jechać. Potem jednak zmiarkowałem: po co mi się z ludźmi wadzić. U mnie chleba nie brak z łaski Boga...

— Wiadomo — bąknął Jacenty.

— Zwłaszcza, że chłopak na niego zarobi—kończył Marek.—Jak dojdzie lat swoich, niech tam swego dochodzi, na kim chce. Mnie nic do tego.

Weszli do ogrodów Marka. Dwa wielkie brytany, pędząc jak wściekłe, wrzaskliwie ujadały, aż się Jacenty musiał zastawiać dębczakiem. Za psami zjawił się parobek. Rozkazał mu Marek wziąć najprzód psy na łańcuch, a potem dziwaczną postać, którą przywiódł z sobą, polecił odprowadzić do czeladnej.

— Wąchal był i jest popędliwy— nawiązał znów Jacenty. — Trza było z nami mówić o chłopcu, niechby się wywiódł. Gdzie on jest teraz? Powiadają, że jakowegoś człeka skrzywdził na zdrowiu i w piwnicy czeka kary.

Marek milczał, rozważając gdzie najlepiej ukryć chłopca.

— Z tego wnoszę—dorzucił Jacenty,—że wyrostka dzięciołami karmicie, przeto i strachać się należy, aby z niego kruki nie miały żeru!

Słysząc to, zczerwienił się Marek, jak wiśnia dojrzała. Splunął głośno i groźnie spojrzał w oczy Jacentemu.

— Gęba wam lata—tedy lada co pleciecie, mości panie... Wara! na mojej zagrodzie, między moich ludzi nos wrażać, bo go przetrące, jak Bóg miły! Nie abaczajcie, że nie wytrwa psia noga na ławie, musi być pod ławą.

Przypominacie jako nie moje to tu miejsce?

Jacenty, przeżuwając gorzkie słowa cofnął się za grodzenie murowane, a Marek jako kamień wyrzucony z procy, wpadł do świetlicy.

Tutaj doszedł go z miasta wielki szum ludzkich głosów, wycia przeciągłe. Zdawaćby się mogło, że to wicher jesienny, potrząsa rozłożystemi konarami dębów.

U progu stała matka Agnieszka, biała jak płótno z przerażenia.

— Co się tutaj dzieje? — rzucił Marek.

Agnieszka otworzyła usta, ale nie mogła z gardzieli słowa wydobyć, brzdąkała jeno niewyraźnie.

Na kominie płonęło łuczywo i jaskrawo oświecało suchą postać niewieścią. Okiennice były zamknięte, brama wjazdowa mocno sztabami przytrzaśnięta.

Na wołanie Marka przybiegł czeladnik jeden, drugi. Stanęli przed gospodarzem, uzbrojeni w czekany, w oczach mieli płomienie, włosy najeżone, na ciemnych twarzach krople potu.

— Pospólstwo, jako wezbrany strumień,— mówił jeden—rzuciło się na dobytek twój, gospodarzu i szarpać go poczęło.

— Bogarodzico! — złapał się za głowę Marek.

Skrzyknęliśmy czeladź, parobków, dziewki i wyparli zjadliwe osy precz.

— Nic nam teraz nie zrobią — dodał drugi — bo parkany wysokie, a i bramy nie puszczą, choćby je i rąbali.

— Od strony pola, przez ogrody, dostęp stoi otwarty — krzyknął Marek.

— Nic oni nam teraz nie zrobią: odchodzą żydowskie jatki idą rabować.

— Ruszaj jeden w te pędy, furty od ogrodów zamykać. Potem skinął na pozostałego czeladnika, oparł się na jego ramieniu, poprowadził do alkierza i mówił z cicha:

— Słuchaj Jurek, mam ci ważną sprawę polecić.

— Rozkazowanie dawaj, gospodarzu!

— Jurek—ciągnął smutnym głosem Marek.— Rodzicieli twoich przygarnąłem po pogorzeli, kiedy nawet łachmana nie mieli na grzbiecie. Ciebie i siostrę twoją niańczyłem jak własne dzieciska. Czy to pamiętasz!

— Pamiętam, gospodarzu!

— Siostrę wydałem za bartnika i dałem wiano nie gorsze, jak dla dziewuchy najprzedniejszego kmiecia. Ciebie nauczyłem zacnego rzemiosła i pasowałem na podmistrza. Czy to pamiętasz?...

— Do grobu i po za grobem, psem najwierniejszym waszym jestem, gospodarzu, i będę!

— Wierzę. Teraz słuchaj bacznie, a nie uroń słowa. Domarada uprowadziłem tajemnie z piwnicy i lochami, żem go tu przywiódł.

— Wyście, gospodarzu, to uczynili?— zdumiał się czeladnik.

— Tak ci to jest! Ja! Teraz trzeba go daleko za międzą miasta ukryć, bo tu niebezpiecznie.

— Mówcie, a co rozkażecie, spełnione będzie, choćbym na arkanie tatarskim miał zginąć.

— Jeździłeś ze mną do Godzimira Strzały, pod Opatowem. Otóż nie tracąc chwili, w przebranych szatach, ty za kramarza, Domarad za twego pachołka, siadajcie na konie i uciekajcie z miasta.

— Bramy zamknięte — wtrącił czeladnik.

— Prawda! przepomniałem — westchnął Marek.

Milczeli długo oba, wreszcie czeladnik zawołał uradowany:

— Jest wyjście! Od strony Dziecińca, dziś kawał muru wyrąbali, tak że trzy konie przejdzie. Byle się tylko tam dostać.

ZIUM

— Jedźcie tedy w imię Boże! Weź mój klejnot, pokażesz Godzimirowi, żeby ci wszystkiemu wierzył, co mówić będziesz.

Nie upłynęło i pięciu pacierzy, a Jurek z Domaradem, wymknęli się polem na miasto. Marek żegnał ich znakiem krzyża, stał długo, aż wreszcie dwie postaci rozpłynęły się w ciemności.

Od wschodu czarne waliły chmury, wicher hulał w polu, coraz żałośniej jęczały w ogrodzie drzewa, błyskawice raz po raz rozjaśniały sklepienie nieba, grzmoty z daleka szły coraz głośniej, coraz bliżej miasta huczały.

VIII.

Tymczasem Jurek z Domaradem, wśród ciemności, że oko wykol, rozjaśnianej często długiemi błyskawicami, wychynęli się za mury miejskie i poczęli schodzić z wysokiej, kamienistej góry. Z jednej strony tłukły, o twarde brzegi, ciemne bałwany Wisły. Na prawo, gęsty bór wył groźnie, jak wielkie stada zgłodniałych wilków. Na równym gościńcu było spokojniej...

— Nie pojedziemy bitą drogą — rzekł Jurek — takie czasy, że między dzikiemi bestyami będzie nam bezpieczniej. Skręcaj na lewo. Ostrożnie! Stąpajcie tuż za mną. Jest tu o parę staj bagnisko niewielkie, ale głębokie, całkiem byście się mogli i z koniem

zanurzyć. Przed wielkiemi świętami, tego lata, dwóch rybitwów z wozami w tej topieli tu ostało.

— A czyjeż to grunta?

— Miejskie łany.

— To mi dziw, że takiego bagna zdradzieckiego wójt nie osuszy.

— Mądrzyście wy! znać, żeście z obcych przywędrowali krajów. Czasów napadów, sile tutaj tatarzynów śmierć pisana, gdy tłumnie na mury uderzają...

— Ola Boga! — zawołał Domarad, — tyle dżdżu z nieba się leje, jakby kto wiadrem chlustał na gębę.

— Prawda. Parę kroków tylko, a zaszyjemy się w bór, tam nas gałęzie i od wichrów i od dżdżów osłonią. I dla tej też racyi lepiej borem się przedzierać w taką noc.

Niebawem podróżni nasi wjechali do lasu, zwanego Czarnym, dla przewagi iglastych drzew, chociaż siedziały w nim, jak wspaniałe mocarze rozłożyste, siwe, kilkusetletnie dęby, wyniosłe sosny, cenne modrzewie i różowe cisy.

— Abyśmy tylko na legowisko niedźwiedzia się nie natknęli!—przerwał Jurek.

— Owa! wielka mi rzecz niedźwiedź — mruknął Domarad. — A jeszcze co, nie widać tu ich tak gęsto, jak o tym prawią zamorskie ludzie.

— I z tego widać, żeś na obcej chował się ziemi.

— Nie nowina w takim lesie, przez który przedzieramy, spotkać się z turem i z żubrem. A z takiemi bestyami w śmiertelne trza się brać zapasy, bo jeżeli ty jego nie pokonasz, nie wrócisz do zagrody.

— Tego mi właśnie trza, żeby się na tura natknąć — zawołał Domarad.

Jurek wybuchnął śmiechem, na takie przechwałki wyrostka, aż się po lesie rozległo daleko.

O parę kroków zerwał się ze smacznego snu jakiś zwierz i zdziwiony czy zatrwożony pomknął w głąb lasu. Słychać było chrzęst łamanych gałęzi.

Podróżni nasi się zatrzymali. W Domaradzie serce zabiło. Chwycił oburącz, gorączkowo ciężki oszczep i czekał.

— Nie ku nam pomyka— rzekł po chwili milczenia Jurek.—Ruszajmy dalej.

— Mam przecież i kuszę i oszczep, to ani tura ani żadnego innego zwierza się nie ulęknę — oparł Domarad.

— Niech nas Bogarodzica broni od takiego spotkania—przeżegnał się Jurek.

Tak gawędzili ze dwie godziny, płosząc tu i tam zwierzynę. Nawała deszczowa umilkła, drzewa przestały jęczeć, w mniej zagęszczonych miejscach nad głowami świecił księżyc.

— Teraz w Nazierki pójdziemy. Gdzieś tu niedaleko, przy dębie Nazieraka poczyna się, wielkie bagno, musimy je obejść w koło, chociaż i drogi przyjdzie...

Nie dokończył zdania Jurek, gdyż stała się rzecz niezwykła. Dwie strzały jedna po drugiej warknęły mu koło ucha; jedna musnęła go po policzku bełtem i spadła na kark konia, druga — utkwiła w drzewie. Czeladnik obejrzał się za Domaradem. I w jego kierunku puszczono zabójcze groty. Koń pod wyrostkiem stanął dęba, a potem zwalił się na przednie łapy, rżąc żałośnie, jakby go wilk rżnął kłami po gardzieli.

— Niedobra nasza!—zawołał Jurek.—Zbójniki nacierają na nas, a musi ich być kupa. Uciekajmy z tej polany, co żywo w gąszcza...

Dopadł do Domarada, który stał przy swoim koniu. Wyrwał koniowi z szyi strzałę i przelękniony patrzał na farbę, płynącą czerwonym sznurkiem.

— Co komu Bóg naznaczył, złodziej nie ukradnie!— odparł Domarad. — Nie mój koń, jeno Markowy, trza go ratować.

— Nawróć powiadam w gąszcza! — krzyknął Jurek. — Co się stało z końmi, ja zdam sprawę gospodarzowi...

Znów parę strzał świsnęło, z których jedna utkwiła w karku Jurkowego konia. Ten się zerwał, jakby go kto ukropem zlał, zawrócił w bok i pocwałował.

Teraz dopiero Domarad zmiarkował, że trzeba się ukryć w bezpieczniejszem miejscu, bo tutaj utajony nieprzyjaciel wystrzela ich jak czaple. Zbiegli zatem z polanki, cwałem wpadli w zarośla i zatrzymali się pod rozłożystym dębem.

— Cichaj!—szepnął Jurek.—Mamy osłonę, należy wymacać, z kim to przyjdzie mieć sprawę.

Niedługo czekali. Napastnicy już widocznie dopadli postrzelonego konia. Wydali przeciągły, złowieszczy okrzyk: U! ha!... i zapadli w milczenie.

Od krzyku tego dusza ścierpła Jurkowi. Zdawało się, że go coś zamroczyło i zobaczył nagle płomienie, we krwi pławiące się krótkie noże, posoką powalane ciemne twarze!...

— Jezus Marya! to mongolskie hasło...—szepnął, dzwoniąc, przerażony, zębami.

Okrutną tę wrzawę słyszał on, kiedy był niemowlęciem i ssał piersi matki. Wycie to zapadło głęboko w jego duszę, lecz nie zginęło i teraz po wielu leciech żałosną nutą zadźwięczało.

Domarad, pomimo niebezpieczeństwa, odgarnął gałęzie, wychylił głowę i chciał przeniknąć ciemności. Krew w nim zakipiała. Rozliczne cierpienia matki, jej cała smutna, jak grób niedola, jej podeptane wiośniane życie... wszystko to stanęło nagle przed oczyma duszy, skotłowało pierś i uczuł brzydką żądzę zemsty: ubić choć jednego z tych, którzy pastwili się niegdyś nad jego świętą matką. Ochłonął pierwszy Jurek.

— Wiem od Marka, że te psiajuchy mają dobre węchy: pójdą za nami, więc nam się ruszać nie godzi. Pod stuletnim stoimy drzewem, ukryjmy się w jego konarach, a co dalej nam czynić wypadnie, rozważymy na górze.

Dobra była rada, to też nie zwlekając, bez namysłu wdrapali się na konary drzewa.

— Czy aby to są Tatarowie—zapytał szeptem Domarad.—Może zwyczajni łotrzykowie?

— Nie! nie!... — zaprzeczył głową Jurek.—Boże, nam bądź miłościw!... To ich wycie!...

Dla skuteczniejszego nastraszenia i pierwszy lepszy potrafi rozmaite głosy na się wziąć: i dzikiego zwierza i ptaka...

Jurek miał sokoli wzrok i umiał w ciemności rozeznawać przedmioty, jak za dnia. Uniósł się i rozglądał po okolicy. Nagle uchwycił Domarada za rękę.

— Cichaj! Na prześwieconej, księżycowym blaskiem ziemi, czarne kładą się cienie... Tropią za nami... Sunie jeden, dwóch, trzech, pięciu... ciągnie i szósty...

Głos mu zamarł w piersi.

Domarad obrócił się niecierpliwie, bo nic nie widział, choć wytężał oczy.

— Mów, co widzicie? Ilu ich jest? Czy Tatarowie?

Jurek nakazał mu gorączkowo milczenie.

Tajemnicze postaci, w baranich, przewróconych wierzchem kożuchach, w kołpakach, z kordelasami w ręku, zaszywali się w gęstwinę. Starszy, jeden między nimi, dawał rozkazy.

Posyłał ludzi tu i tam. Wszyscy sprawowali się cicho. Od czasu do czasu zadzwoniło krzesiwko.

Starszy usiadł na pniu i czekał z dobrą godzinę. Wreszcie się uniósł, spojrzał uważniej na niebo, na którym gwiazdy już bladły. Po chwili, ukryci na drzewie, usłyszeli przeciągłe, stłumione gwizdanie. Odpowiedziały mu kukułcze głosy. Z zarośli poczęły wypadać czarne postaci. Wszystko to się kupiło koło jednego. Coś między sobą gwarzyli, jakby zdawali sprawę, poczem dopadli koni i jakby ich kto z ziemi zmiótł, zginęli w oka mgnieniu, Ani liść nie zaszeleścił.

Domarad z Jurkiem długo jeszcze siedzieli na dębie, bojąc się podejścia. Aż kiedy świty ukazały się na niebie, wtedy dopiero nasi towarzysze zeskoczyli z drzewa.

— W Imię Ojca i Syna—przeżegnał się Jurek.— Sen to był? czy jawa? Na polance leżało ścierwo konia obdarte ze skóry. Jak na dłoni—jawa.

IX.

Między Opatowem a Iwaniskami, gdzie dzisiaj Modliborzyce, założył był swego czasu osadę kmieć przybyły aż z Jazdowa, przezwiskiem Godzimir, z herbowem godłem, czyli powołaniem Strzała. Pamiętał Godzimir czasy Mieczysława Starego. Za orszakiem księcia Konrada Mazowieckiego, pociągnął w krakowskie. Pod Zawichostem stawał mężnie przeciwko Romanowi ks. Halickiemu. Odznaczył się tu w obec hufców mazowieckich, sandomierskich i krakowskich tak, że go książę Leszek Biały, na polu walki ucałował, jak równego i darował mu konia wraz z całą zbroją...

Z dziesięć roków później, ożenił się z Ludomiłą, córką Bartnika... Ale to dawne czasy.

Ludomiła z Godzimirem żyli z sobą roków... któż zliczy?...

Czasów pierwszego najścia Tatarów walczył wraz z trzema synami, na polach pod Lignicą.

W obronie nieszczęsnego księcia Henryka legli śmiercią bohaterską jego trzej najstarsi synowie.

— Bóg dał, Bóg wziął—westchnął Godzimir i wrócił do motyki, siekiery i radła, bo wszystko było w gruzach i popiołach.

Najmłodszy syn, Jarogniew urodził mu się tego lata, kiedy książe Bolesław darował świętej Pani ziemię Sandecką, a miał już wtedy około siebie, cały różaniec chłopaczysków i dziewuch.

Znów dwóch chłopaków legło w polu; jednego niedźwiedź pokonał... cztery dziewuchy jak łanie—poszły w jasyr. Reszta rodziny żyła pod Iwaniskami, rozrośniona we wnuki, prawnuki i praprawnuki.

Naczelnik tego rodu, Godzimir nie zapuszczał się już do boru, z oszczepem na tury i dziki, ani wypływał na środek jeziora, zarzucać więcierze, niewody i zabrodnie.

Krzepkości brakło mu już, zmocować by się już nie mógł, a co gorsza błony mu oczy zakryły.

Godzimir nie frasował się tem srodze, rozumiał bowiem, iż Bóg pewnikiem w wyrokach swoich postanowił tak:

— Dosyć na promienie słoneczne napatrzyły się oczy twoje. Wejrzyj teraz w siebie!

Żył i rozmnażał się przy nim zacny ród, a on mu przewodniczył we wszelakich sprawach, jako książę na wiecu.

Siadywał wtedy pod dębem, mającym kilkanaście łokci obwodu i tak rozłożystym, że pod jego cieniami, mogłeś bezpiecznie, jak pod dachem, uczty i wiece odprawować. Dąb ten, za którego cenę możnaby kupić nie dwie i nie trzy, ale cztery wsi, nazywał się: „Biały,“ na uczczenie pamięci nieboszczyka księcia, który swego czasu zwycięskie staczał boje z Rusinami.

Staruch Biały z jednej stony nacechowany był gęsto krzyżami. Ile krzyżów, w tylu potrzebach bywał Godzimir.

Właśnie Godzimir wypoczywał pod ulubionym drzewem, głaszcząc po płowych główkach, rozbawione praprawnuki, kiedy stawiono przed nim Jurka z Domaradem. I czeladnik i wyrostek podobali mu się, lubo ich nie widział, ale po świeżych, dźwięcznych głosach wyczuł dobre, mężne serca.

Domarad dopadł do nóg staruszka i ucałował je pokornie, toż samo uczynił Jurek.

— Gadajcież mi nowiny! Co się z Markiem dzieje?

Jurek krótko opowiedział, jak i co, dlaczego Marek wysłał Domarada z Sandomierza.

— Tak— przerwał Godzimir i położył suche ręce na głowie wyrostka.—Widziałem, własnemi oczami widziałem, jak pohaniec niebogą rodzicielkę twoją zgonił, ciągnął ją za włosy, rzucił na konia i umknął. Nie mogłem jej bronić — dodał po chwili, — bom już leżał bezwładny, podziurawiony strzałami, oczami tylko wodziłem i okrutne męki cierpiałem, patrząc na mordowanie bezbronnych niewiast, dzieci...

Domarad padł na kolana i mając oczy pełne łez, ze czcią, jak relikwie święte, całował ręce, nogi staruszka.

Godzimir przerwał mowę, pochylił głowę białą jak mleko na piersi i dumał długo. Może rozpamiętywał dawne boje... Stanęła cisza taka, jakby cienie dawno zmarłych ludzi korowodem szły w koło dębu. Praprawnuki zalęknione tuliły się do patryarchy, ptaszkowie zawiesiły srebrne piosenki.

Ocknął się Godzimir.

— W Krakowie— rozważał pół szeptem,— księżę stolicy nowe waśni wszczyna z księciem kościoła; w Sandomierzu lud się burzy, nie chce okopywać, ani uzbrajać grodu; w Rożkach stryjcowie, nie bacząc na męki siostry, chcą ukrzywdzić sierotę... Boże, nie karz nas!

Umilkł staruszek znów i skinął na Jurka, aby powiadał dalej. Czeladnik teraz jął mówić o nocnej przygodzie w gąszczach. Biała, jak płótno twarz Godzimira, zarumieniła się przypływem krwi, jakoby jabłko dojrzałe i przerwał:

— Ordy jeszcze na naszych łanach niema. Poprzedziłoby ją gromadne najście dzikiego zwierza, lotnego ptactwa chmury... ale szarańcza mogła się już ruszyć w legowiskach.

Nie zwlekając, przywołać kazał wnuka, imienien Dadźbóg, któremu bez zwłoki kazał ruszyć w drogę.

— Staniesz przed samym kasztelanem grodu albo wojewodą i powtórzysz nowiny, jakie sandomierzani przynieśli. Oni starsi, niech radzą. Może ja się mylę a mogliście się i wy prześlepić, — zwrócił się do Domarada, po nocy, zwłaszcza w lesie, bywa też, że czarne duchy wodzą nas na pokuszenie.

Dadźbóg na wyjezdnem rzucił straszną nowinę żonie Wielisławie, a ta zaraz zaniosła się płaczem. Zbiegła się czeladź, niewiasty, dzieci, staruchy, dziewoje. Zakotłowało się w osadzie, bo wieść lotem błyskawicy obiegła pola i chaty; przesadziła puszczę, niedostępne lasy, puste jeziora, głębokie jary i leciała niewstrzymana coraz dalej, okrutna, jak powiew śmierci.

— Orda następuje!

Tymczasem sędziwy Godzimir, opierając się na pachołku, prowadził młodych gości do chaty.

Zdziwił się Domarad i Jurek, bo za ogrodzeniem, z piękną bramą, pod daszkiem, okalającym budynki gospodarskie, zobaczyli wspaniały dwór modrzewiowy, nad ktorym, na filarach gankowych wspinał się dach wysoki, kopułkowaty.

Wprowadził ich Godzimir, do obszernej ale nizkiej komnaty. Na brunatnych ścianach, wisiała czarna skórzana zbroja, olbrzymia szabla zakrzywiona po tatarsku, dzida, szczyt, kusza, parę łuków, sajdaki, trąbki bojowe, hakownice, piszczele, oszczepy.

Zdawało się Jurkowi, że tu rycerz zamorski mieszka, a nie zwyczajny kmieć. Domarad również wypałuszył oczy i dziwował się. Wyszła naprzeciwko nich,

pochylona wiekiem niewiasta, w zwyczajnym, roboczym stroju domowym, a więc: w butach, kożuchu i rańtuchu. Była to synowa Godzimira, wdowa po najstarszym synu, który poległ pod Chmielnikiem. W rękach jej były gospodarskie rządy domu.

— Dobry Bóg gości przyprowadził—rzekł Godzimir.—Niech im pachołek pokaże drogę do łaźni, a potym, córuchno, wedle zacności uproście ich, żeby przełamali się naszym chlebem, zaspokoili głód naszym mięsiwem i ugasili pragnienie napitkiem, uwarzonym z naszego chmielu.

Kiedy młodzi wyszli za niewiastą, Godzimir wyprostował się nagle, zerwał ze ściany olbrzymi miecz, uniósł go oburącz do góry, chciał zatoczyć młyńca, lecz mu ramię opadło. Spróbował raz jeden i drugi — daremnie, siły brak... Bezmierny żal wstrząsnął piersią starca, zakrył poorane czoło szeroką dłonią i dwie grube, jak perły łzy, spłynęły po alabastrowej twarzy.

— Swego czasu, toć jak piórkiem machało się tym żelazem; że aż w powietrzu grało, a głowy pohańców, jakoby jabłka spadały z karków, a dziś?.. Czas wielki do mogiły, już mi na nic zbroja... To mówiąc,

przycisnął do piersi oręż, jakby się z nim rozstawał nazawsze, pocałował i zawiesił na dawnem miejscu.

W półmroku, jaki panował w komnacie, starzec ten podobny był do jasnego ducha dawnego bohatera.

Już tego dnia nie widzieli domownicy swego patryarchy. Zamknął się w ciemnej izbie, w której stęchlizną wiało, włożył ostrą włosiennicę na zmordowane ciało, padł na kolana i modlił się żarliwie.

„Jako żąda jeleń ku stadniom wód, tako żąda dusza moja k'Tobie Boże. Adamie, ty Boży kmieciu, Ty siedzisz u Boga w wiecu, Domieściż nas swe dzieci, Gdzie-ż królują Anieli...“

X.

Przeszła niedziela jedna, druga i trzecia; przyszły zimne wichry, śniegi zasypały wąwozy, ubieliły zielone pola, jasne lody pościnały jeziora i rzeki. Wilki wcześnie zawyły, niż zwykle, a gruby zwierz grzmiał strasznym rykiem nocami.

U Godzimira zwykłym szły porządkiem wieczory porządkowe, święte wieczory. Ród był wielki, tedy większy jeszcze budynek patryarcha zbudował, aby się wszyscy zmieścili i niewiasty, i staruchy, i mężę i pachołkowie. Na ognisku wielkie polany drew płonęły, a w koło przecudne dziewoje z przęślicami, kręziołkami, motowidłami słuchały tego, co prawią dziady i zahartowani w bojach rycerze.

Domarada umiłował był sobie Godzimir, dlatego też wyrostek zasiadł tuż koło niego.

— A dawno to było—podniósł jednego wieczora głos Godzimir.—Ani dziad mój, ani ojciec już tego nie pamiętali.

Kołowrotki przestały warczeć, śmiechy rozwiały się, a z daleka, hen, zdaleka dzikiego zwierza, mimo nocy, dochodziły pomruki.

— W pomrukach to takich—ciągnął Godzimir—po obszarach lechickiej ziemi jeno hartowne serca chodziły, a drogę ukazywały im niewiasty, które żywiły się miłosierdziem i cnotą. Była si a nie było miecza, była mądrość, a nie było przemocy, były łany, nie było grodów ani wież, ani piwnic. Ale w zamorskich krajach inaczej całkiem się działo. Tam jeden człek najeść się chciał za pięciu i ci zawsze byli chciwi jadła, a tamten głodny posiadania... Mnogie tysiące ruszyły na nas i ztąd się wzięły boje na naszej ziemi. Trzeba było pomyśleś o naczelnikach, którzy znów między sobą wybrali najstarszego i temu dali władzę książęcą nad sobą i nad ludem.

— Mądry ten książę zwołał na naradę wszystkich i prawił wymownie w ten sens: „pośmiewiska godnem

jest pokaleczone zwierzę i człowiek bez głowy. Czem jest ciało bez duszy, świat bez słońca?...“

Za ogrodzeniem na drodze ozwała się trąbka. Brytany poczęły ujadać, trąbka zagrała raz wtóry i trzeci. Urywany jej głos podniósł wszystkich na nogi w izbie, niewiasty zbladły, mężom twarze pociemniały. Godzimir ruszył się z miejca, za nim Domarad.

Po ciężkiej chwili oczekiwania, stanął w izbie przed Godzimirem posłaniec, z pękiem wici gorejących na lasce.

Nie trza tu było słów. Wszyscy to zrozumieli, że książę wzywa wszystkich zdatnych do noszenia zbroi pod chorągwie. Posłaniec też nie zabawiał długo, rzucił hasło, wskazał miejsce zboru i pocwałował dalej, aby wyprowadzać w pole mężów.

Godzimir wyszedł na środek dziedzińca. Rozpalono beczkę smoły. Najstarszy wiekiem syn podał starcowi ligawkę. Patryarcha uniósł uroczyście w górę wielką drewnianą trąbę, przyłożył koniec jej do ust i smętne dźwięki rozpłynęły się po roli usypanej śniegiem. Ligawce wnet odpowiedziało larum. W kościołku, co stał na górze zajęczały dzwony, uderzono w kotły...

W osadzie Godzimira wszystko oddawna już było przygotowane na wypadek obwołania wici. Kto tylko w osadzie podlegał prawu włodziczemu, powinien ciągnąć do Sandomierza, niewiasty zaś, dziatwa, część niezbędnych pachołków miała się ukryć w olbrzymich, misternie wykopanych lochach, do których ustawicznie zwożono solone mięsiwa, ryby, kadzie piwa, miodu i innej strawy. W lochach tych można było żyć wygodnie bez mała jak w chatkach. Wszyscy powinowaci Godzimira, zdatni do boju, występowali konno. Jedna część jako kopijnicy, druga jako strzelcy. Główną bronią kopijników były kopje, strzelcy zaś występowali z samostrzałem czyli kuszą. Pospólstwu rozdano półhaki, siekiery, miecze, cepy żelazne i oszczepy.

Po pierwszym kurze wszyscy byli gotowi do drogi . Godzimir w czarnej skórzanej zbroi ostatni raz objął ramieniem, przybraną w szaty świąteczne Ludmiłę, znakiem krzyża świętego pobłogosławił niewiasty, dzieci, czeladkę i wyruszył z domu, podtrzymywany przez dwóch najstarszych synów. W poblizkim kościołku wszystkie światła gorzały.

Jak tylko Godzimir przestąpił ze swoimi progi ubogiej świątyni, Ojciec Jacek wyszedł ze Mszą Świętą...

Jeszcze parę serdecznych uścisków, jeszcze raz oczy niewiast zaświeciły łzami, i drużyna Godzimira zanurzać się zaczęła w ciemnym lesie...

Szli noga za nogą, milczkiem. Umykał przed niemi spłoszony zwierz, chwilami nad głowami rozchylało się wyiskrzone gwiazdami niebo, wtedy księżyc oświecał zbroje i twarze wojowników. Z godzinę jechali lasem. Niebawem znaleźli się na białym, szerokim gościńcu, który wspinał się w górę, ale i zaraz skończył się gościniec twardy, trzeba się było kopać przez okropne zaspy śnieżne. Konie grzęzły po kolana, niekiedy zapadały po brzuchy. Ostrożnie trza było posuwać się naprzód, ażeby nie pogrążyć się w głębokich jarach lub wąwozach.

Pod Gożlicami spotkali dziwną jakąś karawanę: ni to wędrowniki, ni kupcy, ni dziady. Kupa to była niewielka, może z piętnastu ludzi, a siedzieli na koniach małych, mizernych, przypminających tatarskie.

Godzimir zatrzymać się kazał swoim i karawana zatrzymała się jednocześnie. Po poruszeniach nagłych znać w niej było jakby wahanie, uciekać czy zrównać się z oddziałem? Po chwili jednak wysunął z gromady człek barczysty, wysoki, i żwawym, pewnym kro-

kiem zbliżał się do drużyny. Bystrze objął zbrojnych wejrzeniem i nie pytając nikogo, podszedł wprost do Godzimira, pokłonił się w pas raz, drugi, trzeci.

— Coście za ludzie?—zapytał za Godzimira średni syn Rościsław.

— Z Dobrzynia ciągniemy po sól do Bochni — odparł krótko nieznajomy.

Spojrzał Rościsław na brata, albowiem nie słyszał o Dobrzyniu.

— Daleko to?

— Szmat drogi. Można i Wisłą dopłynąć — po chwili dodał.

Wmieszał się do rozmowy Godzimir.

— Tedy kupczycie solą?

— Czem Bóg da. I solą, i rybą, i skórami i miodem.

— Wedle Mazurów siedzicie.

— Tak jest. Oni w dole, my w górze, jakby na jednej ziemi.

— Na Mazowszu, co tam o Tatarach gadają?

— Oj, gadają o nich, aż uszy bolą słuchać. Nic jeno serce drży, a dusza radaby z ciała wyskoczyć, byle się tylko z nimi nie spotkać. I ptak, co na drzewie, i dziki zwierz, co w jamie siedzi, i pan zamkowy zasiekami osłoniony, i nędzarz, i podróżny, i rycerz i mdła białogłowa — wszystko to złowieszczą roznosi trwogę o chmurze, co płynie hen! z daleka: z nad Czarnego morza, z nad Białej Rzeki.

Przysłonił dłonią Godzimir twarz, chcąc ukryć wzruszenie, a koło wędrownika skupili się wszyscy.

— Książe Polski, Konrad — posły za posłami śle do Wielkiego Mistrza. Zaklina na wspólną krew chrześcijańską, namawia, by połączonemi siłami zacny wstręt pohańcom okazać, dziś nam gorze, jutro wam — upomina. Ale wątpliwe czy do ligi przyjdzie.

— Garść ich — rzekł Godzimir, —stawała z nami pod Lignicą, ale nie szczera to była pomoc.

— Wiadomo — dodał nieznajomy, — Tatarzy chciwi są naszej krwi i polskiego mienia. My ich lepiej od was znamy.

Mróz tęgi ściskał, stać też na drodze nie było łacno. Kazał Godzimir ruszyć swoim naprzód, a wędrownikowi polecił jechać przy sobie, by więcej języka dostać.

— Powiadają — nawiązał rozmowę wędrownik, — że okrutny Nogaj stanął na czele jednego zagonu.

A oprócz niego han Tatarów kapczackich—Telebuga, ciągnie na nas. Dojmuje im tam pono głód wielki, i ten ich wypędził z dzikich pól.

— Nogaja znam wraz z Telebogiem — podniósł głos Godzimir—pławił on się we krwi na tych łanach. Ot, ten,—wskazał na jednego z synów—rodził się akurat tego czasu, kiedy na ziemi lubelskiej Mongoły zaświeciły krwawą pochodnią. I Zawichost i klasztor Benedyktynów Łysogórskich poszły tedy z dymem. Potem szarańcza runęła na Sandomierz. Co się tam działo? Nieszczęsny starosta Piotr Krempy uwieść się dał. On sam nieopatrzność tę gardłem przypłacił, a korytem Wisły nie woda, lecz krew płynęła...

Świt zimowy spłonął. Drużyna stanęła przed murami Sandomierza. Rościsław opowiedział się ligawką. Rzucono most, brama skrzypnęła i jeźdzcy wraz z karawaną wjechali do miasta.

W Kościele Panny Maryi dzwoniono właśnie na Mszę świętą, drużyna też prosto pociągnęła do świątyni, aby ukorzyć się przed Panem Zastępów.

XI.

Od pól dzikich od ujścia Dniepru i Dniestru szła szarańcza tatarska. Był to lud dziki, mały wzrostem, szeroki w ramionach, barczysty, o spłaszczonych nosach. Uzbrojeni w łuki, krzywe pałasze, małe tarcze i dzidy, Tatarzy z bystrością ptaków przenosili się z miejsca na miejsce, dzięki niewielkim, ale wytrwałym koniom.

Na czele tysięcznych oddziałów, świeciła starszyzna bogata, ozdobiona pancerzami bądź ze skóry, bądź z żelaza.

Kiedy na wiosnę słońce przygrzeje lody pękną, śniegi poczną topnieć, zrazu spływają jeno pojedyńcze nitki wązkich wód nieśmiele i zatrzyma je lada podmuch zimowego wiatru.

Tak samo dziesiątki, setki Tatarskie zapadały się wątłe, rozdrobnione w bezludnych stepach. Zapadały się i szły dalej liczniejsze, a możniejsze. Każda noc, każdy dzień potęgował je w sile. Już to były nie nitki, lecz strumienie, które poczynały się rozlewać szeroko na bezludnych stepach. Jeszcze daleko było do Czarnego Lasu, do świętego uroczyska, miejsca zboru pierwszego, a już fale rozhukanej dziczy tłukły się i pieniły.

Wreszcie u Martwych wód spotkali się wodzowie: Nogaj i Telebug. Dwa orły i dwa sępy, sępy żądne krwi i zagładzenia chrześcijańskiego świata.

Pod pilśniowemi namiotami, przez długie noce, przez długie dni rozbrzmiewały pieśni i kumys się lał: Drżyjcie, ludy chrześcijańskie!....

Nazajutrz oba czambuły zgodnie przeszły na prawą stronę Bohu.

Biada lachom!...

Krew się zaczęła lać, strzały chmurą spadać, arkany migać. Kiedy nareszcie zastępy te przeszły uroczysko Kuczman, zdawało się, że wali ze wschodu rozbałwanione morze ludu.

Na przedzie wielkie zastępy niewolników, na tyłach bohatery-Tatary.

Nie dochodząc Baru, Telebug kazał sobie zrobić kąpiel z krwi pojmanych branek. Zdumiał się na to Nogaj. On wzorem Batu-hana w kotle jeno gotował niewiernych. Przemówili się i rozterka jak drzazga między wodzami stanęła.

Czambuły szły na Lublin.

Wylękniona ludność rozproszyła się po niedostępnych lasach, gdzie czuła się bezpieczniejszą niż w grodach. Niestety, lawina tatarska, wzrastająca po drodze tłumami jeńców, rozlewała się szeroko po kraju z przerażającą szybkością, a przed nią uciekały w szalonym popłochu, na pół obłąkane, odarte, głodne tłumy. Niebawem też przerażenie jak płomienie objęło graniczące z osadą Godzimira wioski i miasta.

Domarad codzień zrana wychodził tajemną kryjówką z lochu, ażeby zbadać, co się działo w okolicy. Jednego też poranku zobaczył wylęknione twarze zbiegów, a kiedy się wdrapał na wieżę, ujrzał ztamtąd w północnej stronie czarne dymy i płomienie. Ścisnęło mu się serce żalem. Wdrapał się jeszcze wyżej, stanął na ostatnim szczeblu i nie mógł oderwać wzroku od ponurego obrazu.

Spuścił się wreszcie na dół i zaniechając polowania na drobnego zwierza, znanemi gąszczami biegł do podziemnej kryjówki rodziny Godzimira. Nagle zatrzymał się.

Na kamieniu, którym zawalony był otwór, siedziała niewiasta w bieliźnie, boso, z włosem rozwianym. Nieszczęśliwa, mając jeno za osłonę coś w rodzaju guńki pilśniowej na ramionach, tuliła do piersi niemowlę i śpiewała mu kołysankę, jakby za dobrych czasów, pod strzechą domową. Obok kobiety stał chłopczyna, czterolatek zaledwie. Chłopiec przybrany był w szatki ciepłe, na nogach miał wielkie chodaki, jakby z dorosłego człeka. Dzieciak ciągnął niewiastę za guńkę i płacząc rzewnie, dopytywał:

— Matulu, pocośta uciekli z chaty? Jaśkowi zimno i papu się chce. Jaśko poskalzi się tatulowi, jak przyjdzie z lasu...

Kobieta spostrzegła Domarada. Wstała nagle na równe nogi, porwała Jaśka na rękę i jak wylękniona sarna, rzuciła się do ucieczki. Domarad szybkim ruchem na przełaj zastąpił jej drogę, rozkrzyżował ręce. Biedna matka krzyknęła rozdzierającym głosem, skręciła w bok, potknęła się o kłodę, runęła. Jaśko zaniósł się płaczem:

— Matulu, matulu, matuchno!...

Dopadł Domarad. Klęknął, nachylił się do twarzy niewiasty i zawołał energicznie a gorąco:

— Nieszczęśliwa, czemu uciekacie? Pragnę was przecie ratować. Jeżeli nie od strzały tatarskiej, to zginiecie od mrozu i głodu. Chodźcie za mną!

Niewiasta spojrzała obłąkanym wzrokiem, przygarnęła do siebie chłopczynę i poczęła wyrzucać nieprzytomnie oderwane zdania: „Tam płomienie, popioły... Tam śmierć.. Tam Tatary... Bój krwawy... Ratujcie moje dzieci! Weźcie mnie na męki...“

Podniosła się i znów zabierała się do ucieczki. Domarad stał bezradny. Wreszcie zdecydował się na krok stanowczy.

Porwał Jaśka za rękę. Rozdzierający wrzask trwogi uderzył w niebo. Matka, jakoby ugodzona pociskiem lwica, dopadła wyrostka:

— Weźcie mnie na arkan, a dzieci puszczajcie zdrowe. Bogarodzico, ratuj!

Jednocześnie jeden z pachołków Godzimira wychynął na powierzchnię.

Bystrze objął wzrokiem położenie i biegł na pomoc Domaradowi. Chwycił niewiastę z tyłu. Niemowlę usunęło się na ziemię. Domarad krzyknął:

— Bierz na ręce niewiastę i nieś do podziemi! Sam podniósł z ziemi niemowlę i szedł za parobkiem.

Czas był wielki ukryć się w bezpiecznem miejscu.

Przednie straże tatarskie, złożone przeważnie z niewolników, spadły już jak piorun nagle na osadę Godzimira. Wnet płomienie strzeliły w górę. Od przeraźliwego ryku głosów barbarzyńskich, rżenia rumaków, zadrżała ziemia, dymy zaciemniły powietrze.

Lubo w osadzie ludności nie było, zbiegowie jednak okolicznych włości, jak stado błędnych owiec, przepełnili gościniec. Barbarzyńcy, umazani krwią, cięli bez litości na prawo i na lewo bezbronnych, prawie obłąkanych z przerażenia kmieci.

Za tymi, co się zdołali wysunąć z koła rzezi, wypuszczano chmury strzał, innych doganiały pętle z włosów końskich, okręcały splotami i przyciągały pod stopy pohańca.

W oka mgnieniu ułowiony tak nieszczęśnik, dostawał nożem po gardle, a rozwinięty arkan spadał na nową ofiarę.

Inna kupa barbarzyńców zsunęła się z koni i rozbiegła po gąszczach. Przeraźliwe jęki wstrząsnęły lasem, sinobrode mchy ufarbowała krew. Kogo dopadł pohaniec: dziecko, niewiastę, czy męża, ten już nurzał się w kałuży własnej krwi i kopał w przedśmiertnych drganiach nogami ziemię.

Jeden z ordyńców zapuścił się w dzikie zarośla, gdzie właśnie było wejście do ukrytego lochu. W pośpiechu Domarad niezbyt starannie zasunął płaski, mchem okryty kamień.

Czarna szczelina na dwie dłonie szeroka, zwabiła chytrego Tatara. Dziko zaśmiały mu się kose oczy, nachylił głowę.

W tej chwili strzała jak ptak wyfrunęła z czarnego otworu, ordyniec padł niby gromem rażony.

Ruchomy kamień zasunął się szczelnie.

Domarad zbladł i załamał ręce, widząc że pachołek wypuścił strzałę. Niewiadomo czy przy kamieniu było więcej jeszcze Mongołów? Jeżeli tak, to wszyscy w lochu mogą zginąć straszną śmiercią.

Niezwłocznie trza było myśleć o ratunku. Zostawił przy wejściu na strażnicy pachołka z kuszą, łukiem i mieczem, a sam zbiegł po kamiennych schodach

w głąb lochu. Ligawką zwołał na jedno miejsce strwożonych mieszkańców ciemnicy. Kiedy się już wszyscy zgromadzili, a były to przeważnie niewiasty rozmaitego wieku, dziewice i niedorostki, radził Domarad przenieść się do zapasowej piwnicy.

Mądry Godzimir, urządzając podziemne schronisko, przewidział możliwość odkrycia głównego wejścia, przeto wykopał piwnicę mniejszą, oddzieloną żelaznemi drzwiami, osadzonemi w ziemi. Ażeby tem zmylić ślady i na błędne drogi wyprowadzić pogoń najezdnika, korytarz załamywał się na parę kroków przed tajemnemi drzwiami, zwężał się w ciasne przejście i wyprowadzał maleńkim otworem w dzikie zarośla.

Dzielne niewiasty mężnym sercem przyjęły wiadomość o grożącym niebezbieczeństwie. Żwawo zakrzątniono się koło przenosin, a Domarad, dobrawszy sobie pięciu ludzi, dobrze uzbrojonych, wrócił do pachołka, strzegącego wejścia.

Jakżeśmy widzieli, Tatar padł i niebawem skonał, ale przedtem zdążył ściągnąć ku sobie towarzyszów i wskazać im wejście, prowadzące do lochu.

Mongoli, jakoby rozjuszone wilki, zawyli. Z wściekłością rzucili się na kamień, którego ruszyć z miejsca nie można było. Inni usiłowali go skruszyć albo wyważyć siekierami i żelaznemi drągami. Głaz upierał się i nie puszczał a to potęgowało jeno wściekłość barbarzyńców, których liczba rosła coraz większa. Byli już tam nietylko dziesiętnicy, ale i setnicy.

Jeden ze starszych rozkazał przynieść motyki i kopać ziemię koło głazu, ażeby dobić się do osady. Kędy żyją ludzie, muszą być dymy, rozbiegli się też Tatarzy wszerz i wzdłuż szukać tych śladów.

Po długich wysiłkach dokopano się wreszcie do otworu, ale że ten był wązki, mogli weń wchodzić tylko pojedyńczo. W jaskini pogodzeni z myślą, że im szczeznoć przyjdzie, z podniesionemi mieczami, sześciu pachołków i Domarad siódmy, czekali natarcia.

Skoczył pierwszy Tatar. Miecz świsnął straszliwie. Odrąbana głowa od kadłuba potoczyła się pod nogi obrońców. Skoczył drugi. Takoż śmierć znalazł. Trzeci, czwarty, dziewiąty... wszyscy jednakowo ginęli. Zrozumieli wreszcie Tatarzy, że skaczą w otchłań śmiertelną.

Zaświeciły wilczą wściekłością skośne oczy, kły białe zazgrzytały jakoby u dzików.

Tysiącznik rozkazał nagotować smoły, a jednocześnie dziesiątki motyk poczęły rozkopywać szerszy otwór. Niebawem chlusnął kubeł rozpalonej cieczy, odpowiedział mu bolesny jęk pachołka, który stał najbliżej otworu. Obrońcy odskoczyli i stanęli pod ścianą w miarowej odległości od siebie. Po chwili jednocześnie trzech Tatarów skoczylo do lochu lecz żaden z nich nie podniósł się z ziemi, jednocześnie zaś jeden z pachołków zwalił się z nóg, ugodzony strzałą.

Po chwili rozszerzonem wejściem czterech Mongołów wpadło do lochu, z których dwu rozpoczęło śmiertelną walkę. Niebawem było ich już sześciu, dziesięciu, dwudziestu... pachołkowie ginęli jeden po drugim.

Rozległ się głos setnika:

— Żywcem brać!...

Był to spóźniony rozkaz. Sześciu dzielnych pachołków strącono już z nóg i rozrąbano szablami. Ostał jeden Domarad, który postanowił skierować uwagę Tatarów na boczne wyjście.

— Może i uwierzą — pomyślał, — że tędy mieszkańcy lochu wymknęli się na jaśnią.

Począł się cofać, odpierając razy. Nacierało nań

kilkunastu Tatarów, ale że w lochu było ciemno, na ślepo machali szabliskami.

Domarad dotarł już do wyjścia. Obrócił się nagle, skoczył jak kot na kamienne wzniesienie, uchwycił się potem żelaznej sztaby i w paru sekundach był na jaśni.

Zanim Tatarzy oprzytomnieli, wyrostek nasz z szybkością wiatru, biegł przez polanę.

— Jeżeli dopadnę lasu, może ocaleję — myślał.

Lotne strzały poczęły warczeć. Jeszcze parę strzał świsnęło. Domarad zginął w lesie, a jednocześnie kotły tatarskie warczeć poczęły na trwogę.

XII.

Wojewoda Sandomierski, Janusz, w połączeniu z rotmistrzami ziemi krakowskiej, zebrał przedniego rycerstwa z górą 20 tysięcy. Radę wojenną odbyto w Sandomierzu, na której byli obecni Witkon, Dersław z Obręczny, Marek Owca, Godzimir i wielu innych przedniejszych mężów.

Rycerstwo z wojewodą na czele głosowało za stoczeniem bitwy w otwartem polu, przeciwko czemu przedstawiciele mieszczaństwa, a zwłaszcza Witkon, ostro występowali, przypominając porażkę pod Gożlicami, Chmielnikiem, Lignicą... Dwa razy zrywano obrady. Wojewoda z Witkonem stanęli przeciwko sobie murem: pierwszy chciał potykać się w polu, drugi bronić

miasta. Dersław z Obręczny, wreszcie przechylił szalę zwycięstwa na stronę rycerstwa. Ale i teraz jeszcze Witkon nie dał się przeprzeć i krzyknął, że ludzi miejskich za mury nie wyprowadzi.

— Mamy ginąć — powtarzał — to tutaj głowy nasze położymy.

Zaraz po zapadłem postanowieniu, rotmistrze poczęli wyprowadzać w pole swoje hufce, złożone ze 100 do 300 ludzi, nie licząc pocztowych czyli czeladzi. Na wielkiej równinie, na siódmej wiorście od Sandomierza, kazał Wojewoda stanąć obozem, który otoczono kilkoma łańcuchami czat.

Jak tylko okopano się należycie, wnet oddział sahajdacznych, na lekkich małych koniach, pod wodzą Piotra z Mogiły, puścił się w stronę Opatowa, dla złapania języka.

Oddział ten właśnie wpadł jak burza na Tatarów, gospodarujących w osadzie Godzimira.

Były to przednie straże, złożone przeważnie z Litwinów i Jadźwingów. Kupy te gnał przed sobą młody rotmistrz ze dwie mile, ścieląc drogę gęstym trupem. Zmęczyli się wreszcie jeźdzcy i chcieli zawracać z ułapanym językiem, gdy wtem nagle niedo-

świadczony wódz spostrzegł, że rodowici Tatarzy za toczyli nagle wielkie półkole i zwrócili się twarzą do naszych rycerzy.

Krew zawrzała w żyłach ambitnego Piotra z Mogiły.

— Uciekać sromotnie przed kupą Tatarów? Nigdy!

Skinął szablą. Ramię przysunęło się do ramienia i garść dzielnych wojowników uderzyła z okropnym impetem w środek półksiężyca.

Tatarzy tylko na tę chwilę czekali. Wypuścili chmurę strzał, kilku naszych spadło z koni.

Reszta jak potok pędziła prosto w paszczę chytrego wroga. Nie upłynęło i pół pacierza, a już oddział został przez Tatarów oskrzydlony. Pierścień zacieśniał się z przerażającą szybkością.

Próbował Piotr przebić się przez prawe skrzydło, by choć z garścią ludzi wrócić do obozu. Skrzydło nawet się rozstąpiło, niestety, na to tylko, żeby ogarnąć naszych ciaśniejszem półkolem, jak garść kłosów sierpem.

Ani noga nie wróciła do obozu. Nogaj kazał zatknąć na kopii głowę nieszczęsnego Piotra z Mogiły i posłał ją wojewodzie.

Klęska, jaka na wstępie zaraz spotkała oddział, goryczą napełniła serca. Nie wróżono sobie zwycięstwa. Witkon postanowił z okoliczności tej skorzystać, w towarzystwie przewielebnego opata Dominikanów, udał się do obozu wojewody, ażeby skłonić go do powrotu z wojskiem do miasta.

— W czystem polu — przekonywał Witkon — ta szarańcza was zaleje, stłoczy, zkłębi, tak że żywy duch, nikt nie wyjdzie z pogromu, gdy tymczasem wasze siły, połączone z naszemi za murami, mogą ocalić miasto.

Wojewoda sfałdował czoło, zaciął wargi. Był to człek wielkiego hartu ducha, szlachetnego serca, ale ambitny, żądny sławy. Nie chciał dzielić się zwycięstwem. Opat znał tę słabość wojewody, więc też na tej strunie postanowił zagrać.

— Przychodzimy tu do was, jako do niepożytego wojownika. Ty jeden, szlachetny mężu, możesz całe nasze miasto, wszystkie świątynie, ba! cały kraj nawet, męztwem swojem ocalić. Nie odmawiaj opieki, jakiej żebrzemy u ciebie. Przez usta nasze, mdłe białogłowy, dziewice, dziatwa, starce i kapłani... cały lud kłania ci się w pas i woła: Ratuj!

Wojewoda rozpogodził czoło. Wstał i począł chodzić wielkiemi krokami po namiocie. Raz wraz przystawał. Łykał słodkie pochlebstwa, jakie opat coraz szczodrzej rzucał pod stopy magnata.

Wreszcie kiedy opat począł zaklinać na pamięć Czterdziestu dziewięciu dominikanów, którzy w kościele ś-go Jakóba, męczeńską śmiercią zginęli, wojewoda rozpogodzony zupełnie wyciągnął ręce.

— Przekonaliście mnie, wielebny ojcze. Wracam za mury.

Niebawem rozkazano odwrót, który przyjęto z radosnemi okrzykami:

— Wiwat! niech żyje wojewoda, nasz wódz dzielny i kochany!

Dzień był słoneczny, jasny, chociaż mroźny. Wojewoda, pełen fantazyi pan, siedział na pięknym drygancie, mając z jednej strony rozradowanego Witkona, a z drugiej pobożnego opata.

Za wodzami sznurem ciągnęli piechotnicy, niosąc olbrzymie pawęże, za nimi łucznicy na koniach. Wojewoda okiem znawcy oglądał wały, przykopy, palisady. Wjeżdżali do miasta od strony południowej. Przy ko-

ściele ś-go Jakóba zatrzymało się rycerstwo i nie mog
się nadziwić dzwonnicy, a zarazem wieży fortecznej.

Była to budowa ceglana o murach grubych, licznyc
strzelnicach na niższych piętrach, przypominające baszt
Piętro wyższe miało każde z 4-ch stron wspaniałe okn
a raczej przezrocze. Od strony pola wystawały dw
rzędy strzelnic z obszernemi framugami. W każd
siedział wygodnie z kuszą, towarzysz cechowy. Strze
nice wyższego piętra miały otwory wązkie, nieco u dol
rozszerzone, jak wszystkie wyloty do pocisku z ku
i łuków.

Ta obronność strony południowej, skąd z każdeg
większego wylotu 4-ch łuczników mogło bez przerw
rzucać pociski, świadczyła, że dzwonnica miała na ce
obronę furty klasztornej.

— Nie damy się dzikiej bestyi za taką osłoną
wykrzykiwał raz po raz dumny wojewoda.

— Przy opiece Bogarodzicy, nie damy się — p
wtarzał skromnie Opat.

— I dzielnego wodza rycerzów — wtrącał chytr
Witkon, obzierając wzrokiem wojewodę.

Większa część dnia tego przeszła na oglądani
grodu, wież, baszt, zaciągów miejskich.

Wojewoda rad był z przeglądu, wszystko chwalił, czasami tylko tu i tam jakąś radę rzucił.

Rycerze rozlokowali się postojem u mieszczan. W każdym domu była dziś uczta, w każdej gospodzie grzmiały wiwaty, ponieważ z rozkazania Witkona i z własnej ochoty, mieszczanie sandomierscy podejmowali rycerzy ucztą.

Dla przedniejszych, z wojewodą na czele, wójt urządził wieczerzę na ratuszu.

I dziw. O kilkadziesiąt łanów za miastem, okolica stała w ogniu, a mieszczaństwo sandomierskie radowało się z rycerstwem i wróżyło sobie zwycięstwo.

Ucztą Witkon, ująć chciał sobie wojewodę. Bał się on bardzo o to, żeby między Dersławem z Obręczny, a możnym panem licznych włości nie przyszło do starcia o... władzę nad wojskami. Kołował też umiętnie i pragnął za wszelką cenę kupić sobie serce jednego i drugiego. Dopomagał mu w tym dzielnie Marek Owca i sędziwy Godzimir.

W miarę, jak się uczta przeciągała, ochota w sercach biesiadników rosła. Wójt hojnie szafował darami,

jakoby książe udzielny. Misy szczerozłote, srebrne, kosztowne a rzadkie czasze weneckie kazał pakować do jednej skrzyni, a potem, klęknąwszy przed wojewodą, prosił, jak o łaskę, ażeby ten nie odrzucał skromnego, daru.

— Jeżeli mam przyjąć, — powtarzał po parę razy, podniecony wojewoda, — to musiałbym cię uznać za gospodarza tego miasta, a w takim razie i naczelne dowództwo nad mojem rycerstwem musiałbym ci oddać.

— Wiwat! niech żyje możny pan! — wykrzyknęli skwapliwie poplecznicy Witkona.

Nalano nowe czasze.

Wójt się wymawiał chytrze, a wojewoda następował uparcie.

Wreszcie gwałtem począł zmuszać do przyjęcia władzy.

Tak tedy wójt Sandomierski został naczelnym wodzem połączonych obrońców.

Przed północkiem biesiadnicy wysypali się z wielkich izb na miasto. W stronie Opatowa, szeroko na niebie, rozlewała się łuna.

Godzimira jakby kto nożem dźgnął. Niezmierny żal, trwoga ścisnęły mu serce.

— Ażalić tam moje chudziaki żyją—westchnął.— Boże miłosierny, otocz ich swoją opieką, nie wydawaj w pazury krwawych wilków.

XIII.

Domarad zaszywał się coraz głębiej w las. Była to miejscowość głucha i dzika, nie można się tu było natknąć ani na ptaka, ani nawet na zwierza. Wyrostek drapał się na górę, a co chwila staczać musiał walkę z czarnemi splotami gałęzi, korzeni olbrzymich drzew, które obaliła starość, albo jaka niezwykła moc. Zmęczony walką i ucieczką usiadł wreszcie na wielkiej kłodzie, wypuścił z rąk miecz, ścisnął zroszone potem skronie i zapłakał nad dolą własną i nad dolą ludu.

— Jeszczem przecie nie wyszedł z lat pacholęcych, a tyle już widziałem łez, a tyle złości obijało się o mnie. Biegłem tu przez puszcze, wody, bagna, śniegi i góry,—po co? Pachołkowie obili mnie najpierw i wrzu-

cili do piwnicy. Prawda, dobrych ludzi Bogarodzica zesłała, ale znów stryjowie kopnęli jak szczeniaka i chcieli zdrowia i życia pozbawić...

Przerwał nagle rozumowania. Uczuł gorącość na całem ciele, jakby go kto warem oblał. Wstał. Powiódł wzrokiem po wyniosłych drzewach i zdawało mu się, że te drzewa szydzą z niego i z jego niedoli.

— Wychyń się jeno tam na drogę, gdzie czambuły zganiają zdobycz. Przejdź się po borach, a obaczysz tysiące bezbronnych niewiast w jasyrze.

Uląkł się teraz już nie Tatarów, nie stryjców, lecz własnych myśli nieszczęsny Domarad.

Przyszło mu też na pamięć, iż matka przy lada sposobności kazała mu ufać w miłosierdzie Boskie.

Ściemniło się. W serce Domarada, znów wstąpiła odwaga. Postanowił teraz za jaką bądź cenę dostać się do Sandomierza, by uwiadomić Godzimira o losie białogłów.

Rozejrzał się w około. Mrok coraz mocniejszy padał, aż się zadziwił.

— To chyba już pod wieczór idzie. Tak szybko, dnia dzisiejszego, biegły wypadki jedne za drugimi szepnął. Gdzie się skierować, żeby wyjść na gościniec? Postanowił powrócić drogą, którą przyszedł. Ruszył naprzód, lecz nie zdążył zrobić nawet dziesięciu kroków, aż tu z gąszczów wysunęła się nagle wysoka postać, która szła wprost na niego.

Domarad zastawił się znakiem Krzyża Świętego, bo takie miał wrażenie, jakoby duch jakowyś wstał z mogiły i zabierał się do wędrówki nocnej.

Wrażenie to jednak wnet minęło; wysoka postać, przygrywając na bandurze, wesoło śpiewała:

Chodzi sen koło okien,
A drzymota koło płota.
Pyta sen drzymoty,
Gdzie będziesz nocować?
Gdzie chatka cieplutka,
Gdzie dziecina malutka.

Śpiewanie to jeszcze więcej zgnębiło Domarada. Wszak to on właśnie niema chaty, niema okruszyny chleba, a tu noc idzie mroźna, a przed nim puszcza, śniegi, Tatarzy...

Tymczasem tajemnicza postać, zbliżyła się do wyrostka, przerwała pieśń i rzekła przyjazne przywitanie:

— Boże zdarz!

— Zdarz Bóg!—odpowiedział żywo Domarad.

Przed wyrostkiem stał starzec chudy, z długim, siwym włosem. Zarzucił on bandurę na tyły i opierał się na kiju.

Stali chwilę, wreszcie starzec zaczął:

— Przedziwnej gładkości wyrostka bez pytania widzę, że nie kto inny tylko Tatarzy zagnali cię na pielesze dzikich zwierząt. Dobrześ zrobił, żeś tu się ukrył. Oni tutaj nie docierają. U starego Marcina znajdziesz i ciepłą izbę i hubkę. A i to wiedz, że dobry chleb, gdy kołacza niemasz. Pójdź za mną... Niema jeszcze za co dziękować... Jak wyprostujesz z ziębnięte a i utrudzone pewno członki przy ognisku, to i na „Bóg zapłać“ będzie czas.

Domarad znów się schylił i pocałował w rękę starego Marcina, któremu mimo dziwacznego ubioru i zapuszczonych kudłów na głowie i na brodzie, miłosierdzie patrzało z oczu.

— Z osady Godzimira wyrwałem się—rzekł, a pilno mi teraz do Sandomierza.

— Ho! ho! to to samo jakbyś się chciał przez paszczękę lwa, do piersi matuleńki dostać — zaśmiał się Marcin. —Wszędzie te psy niewierne, w koluchno, jak ręką zatoczysz, wielkie ogniska rozpalili. I mdła mucha przez te sieci się nie przebije.

— Za dobroć jaką mi okazał Godzimir, muszę go o losie krewniaków uwiadomić, choćbym i życiem przypłacić miał.

Tu opowiadał, jak się wydobył z podziemnych lochów.

— Jeżeli te niebogi są tam ukryte, to albo Mongołowie już je odnaleźli i wtedy już im nikt nie pomoże... Albo... zaniechali ich, bo wielka bitwa była na tej drodze, a teraz już czambuły opasują żelaznym pierścieniem Sandomierz.

— Prawda to wszystko. Jednakże wyprowadźcie mnie tylko na drogę...

— I co?... — spojrzał bystrze Marcin. — Ze trzy staje dzielą nas od mojej chaty. Ogrzejesz się, wypoczniesz, kąśniesz coś nie bądź i pomyślimy jak i co robić. Może późną nocą spróbujemy wyjść, kiedy zjadliwe roje sen zmorzy, a jeno senne czaty ostaną.

Nie było innej rady dla Domarada, jak zawrócić za starcem.

Chata istotnie stała niedaleko, ale dostęp do niej uciążliwy był i długi. Najpierw wdrapali się na wysoką górę, na którą prowadziła jeno jedna wąziuchna, drożynka. Na prawo i na lewo zwieszały się przepaściste wąwozy, tem niebezpieczniejsze, że zasypane śniegiem. Wystarczało fałszywy krok zrobić, ażeby runąć w przepaść. Marcin kazał Domaradowi trzymać się za pas i wstępować ostrożnie w ślady jego chodaków. Zejście było jeszcze gorsze, bo prowadziło przez grunt skalisty, omarżnięty.

Chałupa, zbudowana z chróstu, leżała w kotlinie i była otoczona wysokiemi sosnami. Oprócz izby z ogniskiem, wprost sieni była inna z okienkami obciągniętemi pęcherzami.

Domarad dziwił się temu, co widział. Ani się spodziewał w tak dzikiem ustroniu znajdzie, jak się patrzy wybudowaną chatę, wszelkie porządki w niej przednie i serce zacne gospodarza pod tak lichą postacią. Jeszcze szerzej usta otworzył, kiedy z sieni weszła, a raczej wpadła do izdebki dziewczyna jasna, jakoby obrazek malowany. Dziewczyna widocznie nie spodziewała się trafić na obcego, bo stanęła nagle jak wryta. Ruszył ku niej stary Marcin.

Drżącemi rękami objął jasną główkę i całując zmieszaną dziewczynę, rzekł:

— Patrzaj, Maryś!.. Na wyrwach leśnych, pod Niedźwiedzią grotą, udało mi się oto napotkać tego wyrostka, który w Sandomierzu ma swojaków, a którego zwą Domarad. Podziękuj mu też, że dał się uprosić i wstąpił do chaty, aby przełamać z nami kęs chleba i spóbować naszej soli. Proś go, a pilnuj, żeby nie opuścił głodny, albo zziębnięty naszej strzechy.

Potem, zwracając głowę do Domarada, dodał:

— Wnuczka to moja jedyna.

Maryś milczkiem, kraśniejąc na twarzy, podeszła do Domarada, wzięła go za rękę i szepnęła:

— Chodźcie!

Domarad ruszył naprzód, a za nimi szedł stary Marcin.

W czeladnej płonęło wielkie ognisko. Na stole, okrytym białem płótnem stał chleb, sól, masło. Domarad usiadł na ławie wedle gospodarza, a Maryś wyszła z izby i po chwili wróciła z misą dymiącego mięsiwa.

Po spożyciu darów bożych i wypoczynku małym, stary Marcin zwrócił się jakoby z prośbą do wyrostka.

— Obiecałem cię przeprowadzić i słowa dotrzymać jestem gotów. Zanim jednak przyrzeczenie spełnię, jeszcze raz zwracam się do twego rozumu i serca. Nie nawiele ty tam w Sandomierzu się przydasz, a życie na wielki szwank narazisz. Te psy wściekłe kołem otoczyły miasto, jutro pewno do szturmu przystąpią, więc w kocach pewnikiem nikt dzisiaj nie śpi.

Domarad z dziwną upartością jął nalegać, nie zwracając wcale uwagi na żałośne spojrzenia Marysi, która to widząc, wreszcie rzekła:

— Skoro już mają takie postanowienie, niech dziaduś idą.

— Pójdę, bom słowo dał!—odparł stary. Chociaż powtarzać nie przestanę, że lepiejby było, gdybyś te nieszczęsne czasy pożogi i rzezie tatarskie przebył u nas w bezpiecznem miejscu.

Po tem przemówieniu urwała się rozmowa, do której nikt ochoty nie miał. Marcin raz wraz jeno wychodził z izby, patrzył w niebo, wracał i powtarzał:

— Jeszcze nie pora.

Domarad się kręcił niespokojnie i siedział jakoby na rozpalonej blasze.

Wreszcie Marcin dał znak, włożył na siebie kożuch, głębokie chodaki, ujął siekaniec i rzekł:

— Chodźmy. Wypadło nam jaskinią iść.

Domarad zaczął dziękować Marysi za wieczerzę, ale dziewczyna chmurna została, bo by wolała, żeby dziaduś wypoczęli, tedy rzekła tylko:

— Idźcie z Bogiem!

Łzami zalała się jednak nieboga, kiedy wróciła do czeladnej. Jakiś dziwny mrok jej na duszę padł, a serce chwyciła żałość. Wybiegła przeto z izby i zawołała serdecznie:

— Wracajcie!.. Dziaduńciu, wracajcie!...

XIV.

Stary Marcin poprowadził Domarada długim, ciemnym lochem. Szli z dobre dwie godziny. Pierwszy Marcin się odezwał.

— Tęsknica i na mnie spadła i jakoby zmora poczyna mi dusić piersi, gardło. Spocznijmy, niech tchu się nałapię. O! nie dobrze jest — mówił, siadając na mokrym, kamiennym występie. — Nie umieją nasi wojować z Tatarzynem, a tu chytrości trzeba więcej, niż bohaterstwa.

— Wszyscy wespół idą—wtrącił Domarad.—Ten, co wici ogłaszał mówił, że rycerstwo jak jeden mąż, ramię przy ramieniu stoi. Pociągnęli też i młodzi i starzy, nawet Godzimir, ślepy już, otoczony krewniakami, stanął na przedzie swojej drużyny.

— Zacnie uczynił Godzimir; tak czynili nasi ojcowie. W boju, nie zaś na betach dokonać żywota mężowi trza, czy to kmieć, czy władyka, książę czy przybłęda. W te koleje mnie również wstąpić czas, ale... zamykaj gębę, stary kmieciu, bo teraz klęski jeno po świecie latają. Stary przysłonił rękami czoło, przykrył niemi twarz i tak zdawało się przez długą chwilę, że piersią jego łkanie wstrząsa.

Ocknął się. Powstał. Chwycił Domarada za rękę i kończył gorączkowo:

— Już na innym gościńcu byłem. Rozumiałem śladami Świętej naszej Pani zacnego Bolka iść i zakładać miłosierdzia przytułki. Nie mieczem lecz sercem zwojowywać ludzi i narody... Skromną już gromadkę mam w tej swojej puszczy, zebraną po drogach. Głodne to i opuszczone były sieroty, nieszczęśliwe białogłowy, mdłe starce. Wszystko to zmarnieć może, jak owce, jeżeli ja zginę...

— To już nie chodźcie! — zapłakał Domarad. — Ostawcie mnie Bogarodzicy i Synaczkowi Jej!

— Nie! tyś małe jaje, ale dokonałeś we mnie przemiany. Już tam pójdę, gdzie Witkon i Marek i Godzimir i Dersław głowy mają położyć.

— A z sierotami, co się stanie, jeżeli wam Bóg nie poszczęści? — zawołał rozpacznie Domarad i padł starcowi do nóg.

— Wracajcie—żebrał—do swojej osady.

— Późno! Już rozważyłem dobrze w głowie. Chrześcijańskiego narodu ojciec — Bóg. Padniemy, to padniemy, a Ojciec Niebieski nie pozwoli zginąć naszym dzieciom, naszej krwi.

Uniósł Marcin Domarada w ramionach, ucałował go w czoło.

Kamienne sklepienie wprowadziło ich wreszcie do gęstych zarośli za jeziorem. Na drugiej stronie zaczynał się wąwóz, przez który koniecznie przekraść się trzeba było, żeby dostać się znów do lochu, bo liczyli że tylko przez bramę krakowską, będą się mogli dostać do miasta.

Tu już zaczęła się droga niebezpieczna, zwłaszcza że księżyc grudniowy świecił jasno; od północy dął

silny, mroźny wiatr i przynosił odgłosy dalekiej wrzawy, dymy i przykry zapach spalenizny.

Na środku jeziora, Marcin oparł się mocniej żelaznym drągiem o szybę lodu i szepnął do Domarada, który wysunął się naprzód o parę kroków:

— Cichaj! Jakowąś wrzawę słychać.

Wkrótce przekonali się, iż nie była to zwyczajna wrzawa. Wśród srebrnej nocy, rozlegał się wielki krzyk rozdzierającej rozpaczy. Krzyk ten toczył się z północy, jak lawina i mógł przerazić najodważniejsze serca.

— Zatrzymać nam się tu należy, przeczekać — objaśnił Marcin. — A może i zaniechać całkiem wyprawy przyjdzie? — dodał. — Ten kwik koni, te krzyki, te światła, te dymy, ten skrzyp teleg wszystko to świadczy, że całe zagony właśnie teraz idą ku Sandomierzowi. Źle!... Co to jest!...

Pomimo mroźnej nocy, pobladł Marcin na twarzy. Nagle dalekie odgłosy zlały się w okrutny zamęt, huk jakby razem sto piorunów wypadło z rozdartych chmur. Marcin nie mógł usłyszeć Domarada, a wyrostek Marcina. Zdawało się, że bladą srebrną noc zimową niewidzialna potęga rozpaliła w krwawy dzień. W jaskra-

wem tym świetle, cała okolica, stała się wyraźną, jak na dłoni. Na wielkim gościńcu, tłukły się, przewalały i piętrzyły czarne fale wielkiego morza ludu. Jednocześnie, ze wszystkich stron wystąpiły, jakoby z pod ziemi, pojedyńcze strumienie dziczy.

Domarad z Marcinem byli otoczeni.

Pozostała im tylko jedna deska ratunku. Cofnąć się lotem ptaka na brzeg jeziora i dopaść napowrót lochu.

Rzucili się też do ucieczki szalonym pędem. Z przeciwnego brzegu puszczono za nimi grad strzał. Wnet na jeziorze zakotłowało się od baranich kożuchów, arkany zaświstały w powietrzu.

Szczęśliwie Domarad z Marcinem dopadli przekopu; mieli jeszcze do przebycia parę staj, żeby się zaszyć w bezpiecznem miejscu. Tatarzy, jakby spostrzegli, że im się zdobycz wymyka, nową chmurę strzał rzucili.

Zachwiał się Marcin, zatoczył koło i zdawało się że padnie. Podtrzymał go ramieniem Domarad i tak złączeni zginęli w zaroślach, a po chwili znaleźli się w ciemnem podziemiu. Wtem Marcinowi buchnęła krew

ustami, chwycił się za piersi i padł na wznak. Wyrostek, rozpacznem wysileniem uniósł starca i zobaczył z przerażeniem, że dwie strzały, jedna tuż przy drugiej, tkwiły głęboko w boku. Wyrwał zabójcze żądła w mgnieniu oka, jak mógł najostrożniej.

— Marcinie!—wołał—Marcinie!...

Ostry ból zbudził starca. Otworzył oczy, wyciągnął ręce przed siebie, ustami poruszał, ale niewyraźne, dźwięki jeno wydawał.

— Ma... ma... rylo!

Domarad zrozumiał, że za kochaną wnuczką starzec się ogląda! Jasnemi też łzami zabiegły mu źrenice, łamał ręce jak dziecko nad łożem konającego ojca.

— Sprawiedliwy Boże! ocal go, chociaż jeszcze na niedługą chwilę, aby mógł przed śmiercią, jedyną wnuczkę obaczyć... Ocal!...

Ulatujący duch Marcina zrywał już ostatnie słabiuchne nici, ostatnie iskry życia gasły jedna po drugiej. Starzec jeszcze raz się uniósł, zachwycił z wysileniem powietrza, krzyknął krótko, lecz wyraźnie: Maryś! i stężał.

Zdawało się Domaradowi, że w tej chwili sklepienie kamienne zaczęło się walić. Dziesiątki rąk wpiły się w jego ciało, oderwały od drogich zwłok starca i unosiły gdzieś w okrutną, gorszą niż dolina śmierci otchłań.

Stracił wreszcie przytomność, wszelkie czucie i stał się podobny do głazów bez życia...

Obudził go zimny powiew ostrego wiatru. Otworzył oczy. Siedziała przy nim pomarszczona, straszna, jak wiedźma, niewiasta.

Niedaleko dymiło ognisko. Chciał wstać: ani ręką, ani nogą nie mógł ruszyć. Powiódł tylko oczami; zobaczył jeszcze z boku kiwającą się jakąś postać. Przerażenie wstrząsnęło nim.

— Boże! czym wpadł w jasyr?.. Mówcie ludzie, gdzie jestem?

Pomarszczona starucha podsunęła mu do ust naczynie z napojem.

— Nie rzucaj ty się, rybko!—mówiła połamanym językiem. Ty jestaś u bohatyra, któregoś mało nie wyprawił do raju Mahometa. Dlatego on ci i życie calił, boś mu się podobał, że mieczem jak rycar ma-

chasz, chociaż jeszcze detyną jesteś. On cię musiał bronić od czerni, boś jej zadużo narąbał.

— Gdzie jestem? — powtórzył niespokojnie Domarad.

— Mówię ja tobie, gdzie jesteś: u bohatyra.

— Zdejmcie mi łyka.

— To tego ja, detyno, uczynić nie mogę, bohatyr zabronił. Ale zaczekaj. Na bój on teraz poszedł, pod wasz gród, wróci, każe rozwiązać, to i rozwiążę.

Jęknął Domarad, probując zerwać łyka.

— Nie wysilaj ty się daremnie—uprzedzała wiedźma.—Cóż ty myślisz,—poczęła łagodniej,—że u nas ludzi niema? Jedne łyka zerwiesz, drugie ci nałożą, tak bohatyr kazał. Napij ty się lepiéj słodkiego napoju i leż spokojnie. Jeżeli ty wpadłeś w oczko naszemu bohatyrowi, tobie u nas źle nie będzie i ty na bohatyra wyjdziesz. Ja przecież takoż wiosnę życia nie w tatarskim namiocie spędziłam, a jednak teraz Tatarom służę, bo muszę...

Ostatnie słowa: „bo muszę“ szepnęła wiedźma cicho, lecz z mocą tak dziwną jakąś, że Domarad spojrzał na nią bacznie, uczuł bowiem, że w tej wiedźmie

ma sprzymierzeńca i może na nią liczyć. Otucha tedy pewna wstąpiła w serce wyrostka.

— Bogarodzico, ratuj!

— Tak tak! Módl ty się do Bogarodzicy! — poparła wiedźma tym samym tonem.

XV.

Nocą podstąpili Tatarzy pod Sandomierz i zaraz rozlały się płomienie na Rybitwach, Chwałkach, Złotnikach, Krakowskiem, Opatowskiem i Zawichostkiem. Pilśniowe namioty starszyzny tatarskiej, stanęły na Górach Wysokich, Lenarczycach, Żórawicach, Milczanach i Wilczycach. Dziesiątki tysięcy rąk poczęły sypać oblężnicze wały, inni kopali się głęboko w ziemię.

W mieście, jak tylko z izdebki, umieszczonej na gnieździe wieży opatowskiej, czujnik dał znać ligawką, że nieprzyjaciel się zbliża, zaraz we wszystkich kościołach uderzyły dzwony na larum.

Miejscy ludzie uzbrojeni w półhaki, siekiery, miecze, cepy żelazne i oszczepy stali już na wyznaczonych miejscach.

Bramę Opatowską zajął Dersław z Obręczny; Zawichostską—Marek Owca; Krakowską—Godzimir z synami; Lubelską czyli Rybacką—starszy brat nieszczęsnego Piotra z Mogiły Michał.

W grodzie obwarował się ze swoimi rycerzami ambitny Wojewoda. Naczelny kierunek nad obrońcami objął dzielny Witkon.

Nietylko towarzysze cechów rzemielśniczych ze swymi mistrzami chwycili za kusze, pawęże i stanęli na blankach, lecz nawet, co odważniejsze żony ich, oraz siostry stanęły mężnie, gdzie grzmiały tarany, aby wojownikom na czas podawać kubły z ukropem, smołą albo kamienie.

Tylko w środku grodu, w czworobok zbudowanym, schroniły się przed czambułem drobne dzieci, wiekiem pochylone niewiasty i osiwiali, niedołężni starcy.

Witkon, zakuwszy się sposobem niemieckim, w ciężką zbroję żelazną, na tęgim gniadym bachmacie, objeżdżał warowne miejsca i jakby uśmiechniony, dodawał serca mieszczanom.

— Nic to, że jak mrowisko rozsypali się w około nas. Po pierwszym szturmie, głębokie wąwozy przepełnią się ich trupami. Nie oddamy miasta za nic, za nic!

— Niech żyje nasz wójt, dzielny i kochany! — brzmiało w powietrzu.

To znów podjechał do niewiast warzących smołę.

— Dzielne! zacne sandomierskie niewiasty—zachęcał.—Za każdem chluśnięciem wrzątku tego tyle co domowego robactwa padnie tych juchów.

I jechał dalej, pewny wygranej.

Tymczasem Tatarzy, w parę godzin pozawalawszy przekopy ziemią i kłodami drzewa, ze wszech stron odrazu puścili na pierwszy bój wielkie tysiące niewolników. Był to zwykły ich manewr; obrzucić przeciwnika chmurą strzał, przerazić mnogością tłumów i albo za jednym szalonym tym rzutem zdobyć miasto, albo cofnąć się, ostawiając na placu tysiące trupów.

Okrutny Nogaj dowodził dziś oblężeniem, a dla niego życie czerni nie było życiem. Zaraz też po wypuszczeniu pierwszych pułków na mury, uszykował drugie zastępy, za niemi trzecie, czwarte, piąte... Kto się chciał cofnąć, musiał zginąć z ręki swoich.

Nie miał tedy nieszczęsny tłum wyboru, parł na ostrokoły ustawione w połowie zewnętrznej pochyłości wałów i padał masami. Cały dzień trwała ta rzeź, za którą z wysokości śledził Nogaj. Kiedy niekiedy wy-

rywał sobie z rzadkiej brody włosy, strącał mieczem głowę najbliższego niewolnika i nowe zastępy wysyłał na rzeźbę.

Zgniewało wreszcie to bezcelowe pędzenie na jatki ludzi rywala jego Telebuga, spiął konia i cwałem wjechał na wzgórze.

— Dość tego!—ryknął—po kostki stoimy we krwi własnej.

— Po kolana brodzić będziemy i tego się nie ustraszę, bylem miasto miał dzisiaj w ręku.

— Nie będziesz go miał dzisiaj, psi synu, chociażby dlatego, że słońce już za górami i zmierzch pada na ziemię. Czas, żeby ludzie pokłon Ałłahowi oddali, a jutro regularne rozpoczniemy oblężenie.

Rzeczywiście cienie już się kładły na ziemię.

Nogaj, lubo wściekły, rozkazał uderzyć w kotły do odwrotu.

Dla obrońców miasta dzień ten był dniem zwycięstwa, ale i niezmiernej pracy. Skoro też ostatnie blaski dzienne rozwiały się za górami i na niebo wypłynął blady księżyc, otoczony miliardami złotych gwiazd, sandomierzanie odetchnęli z tem umacniającem przeświadczeniem, że i Tatarzyna można pokonać.

Na cześć Witkona dookoła potężnie wiwatowano.

Radosny on był i uśmiechnięty. Za własne grzywny nakupić kazał napitków, wszelkiego jadła i takowe posłał na wały utrudzonym wojownikom.

Większość obrońców, pomimo mroźnego wieczoru, posilała się na murach. Pochyleni jeno wiekiem mężowie szli wypocząć nieco do domów. Marek Owca, jakoby odrodzony na młodego junaka, pracował dzień cały.

— Tak to ci, tak!...—prawił rozgrzany powodzeniem Godzimir.—Gdzie jest zgoda, za nią i zwycięztwo iść musi, biada zaś temu ludowi, w którego łonie zawiść, jako kłębek jadowitych robaków, zagnieździ się.

— Od takiego narodu i Bogarodzica odwraca święte oblicze.

Marek nałożył na misę Godzimira świeżego mięsiwa, dorzucił szczap na ognisko i potakiwał.

— Jak „amen“ w pacierzu, prawda. A jednak często bywa, że ludzie o kozią wełnę się swarzą. Tak było, chociażby niedaleko szukając z Rożkami a naszym Domaradem. Wszelkich oni tutaj fortelów zażywali, nawet do buntu jawnego pospólstwo podniecili;

na mnie i na Witkona się cisnęli, bo rozumieli, żeśmy sierotę wzięli w opiekę. I cóż się okazało?

— A cóż się z Rożkami stało? — zapytał Godzimir.

— Aboż nie wiecie! Niewiasty i dzieci ich zginęły pod nożem tych psiajuchów. Wąchala na arkan Tatarzyn porwał i udusił, a Jacenty postrzelon okrutnie dogorywa u Duchniaków. W samo południe, kiedy bój był najgorętszy, przybiegł do mnie braciszek, żebym zeszedł z murów i biegł do miasta, bo konający Jacenty ważną mi nowinę ma oświadczyć.

— Nie byli to źli ludzie, dziad ich pod Zawichostem mężną śmiercią poległ, stając przeciwko księciu Romanowi.

— Prawda.

— A temu cóż tak dolegało, że was od boju odrywał?—zapytał Godzimir.

— O Domarada chodziło. Przywrócił go przy świadkach do mienia i czci rodowej.

— Zacnie sobie postąpił, niema co, a postępkiem takim i winy zmazał.

Marek miast odpowiedzi westchnął, bo mu stanął przed oczyma wyrostek, a jednocześnie jakowaś trwoga niepojęta zmroziła serce, że aż brózdy boleści wystąpiły na czoło.

I Godzimir sposępniał. Jedna ich myśl trapiła: czy ci najdrożsi, ostawieni w lochach, ocaleją? Nie mówiąc słowa, padli sobie w objęcia i tak drżąc, pozostawali długą chwilę.

— Nie pora teraz na wzruszenia. Na mury, czas zluzować innych.

— Odwiedzić by może godziło się Jacentego po drodze—wtrącił Marek.

— Chrześciańska myśl. Wstąpimy i do tego chudziaka, chociaż na jeden pacierz.

Sędziwi mężowie podnieśli się z ławy. W tej chwili wpadł do izby Witkon mocno wzburzony. Twarz miał czerwoną, zdawało się, że z niej krew wytryśnie, ręce mu drżały, z gardzieli nie mógł wydobyć zrozumiałego głosu— dźwięki urywane jeno wyrzucał. Znał Marek dobrze wójta i zaraz zmiarkował po przewróconych białkach, że nieszczęście się stało, utkwił też w niego niespokojne oczy.

Tymczasem Witkon biegał wzdłuż i wszerz po izbie, wołając:

— Tak to! Tak to! Przez Boga! Niepodobieństwo!...

Marek nie przerywał, wiedząc, że kiedy gorączka rozpali wójta, tylko cierpliwością można doprowadzić go do umiarkowania.

— Wodzem mnie okrzyknęli! Patrzcie! pośmiewiska wyrabiają! Jak Bóg żywy nie pozwolę!—krzyczał ciągle Witkon.

Godzimir również poznał, że ktoś drzazgę bolesną wpił w serce czy dumę wójta, więc milczał.

— Czegóż stoicie, jak słupy kamienne, miast zdrową radą pośpieszać?—zwrócił się nagle do nich wójt.— Tutaj o zdrowie i życie miasta całego idzie, ba! całego ludu, o cześć księcia, moją i waszą!

— Jak mamy radzić—podniósł poważnie głos Godzimir. — Miast treści, jak od wodza i obrońcy miasta przystało, słyszymy jęki, wrzawę. Mdłej niewiasty raczej, nie męża to głos—dorzucił z mocą wielką.

Wójt zacisnął pięści, zagryzł do krwi wargi — lecz się opamiętał. Stanął, pochylił dumną głowę i schylał ją coraz niżej.

— Zbłądziłem. Ale jeżeli macie kopać, miarkujcie, że tylko miłość do tego ludu, nie zaś chęć sławy albo mienia unosi mnie tak bez granic.

W tej chwili i Godzimir miękkim głosem przemówił:

— I wy nam darujcie, szlachetny Witkonie! Że nie szczędzicie mienia, pracy, ostatnią kroplę krwi gotowiście wytoczyć z serca dla szczęścia tego ludu, wiedzą o tem najdrobniejsze dzieci tej ziemi.

— I w zacnej pamięci nosić będą wszystkie następne pokolenia...—dodał Marek.—Cześć wam!

— Po oddaniu hołdu do sprawy zatem, przezacny wójcie!—naglił Godzimir.

— Do sprawy— powtórzył wójt.— Wyimaginujcie sobie, proszę was, najmilsi. Wojewoda zbiera się wycieczkę uczynić dzisiejszej nocy! Co najprzedniejszych rycerzów wybiera i chce ich w paszczę rzucić hordzie. Powiada, że to najprzedniejsza rzecz po wstręcie, jaki uczyniliśmy im dzisiaj, jeszcze w nocy sadła gorącego psubratom za skórę nalać.

— A wy dla jakich racyi nie chcecie mu na to pozwolić?—pytał Godzimir.

— Dla jakich racyi, dla jakich racyi?... Bo mi najlichszego ciury szkoda, nie tylko rycerza. Zadużo

ich nie mamy. Oni tam pewno na jutro szykują piekielne maszyny, wieże, tarany, więc obóz nie śpi. Znajdą ich tedy w czujności i oni wszystkich do nogi wytną. Gorzej jeszcze może się stać! Naprowadzą ich na książęcy loch i tędy do grodu drogę pokażą.

— Słuszne!—potwierdził Marek.

— Skoro tedy zgodziliście się na jedno, wy, którzy i przejścia i gród i miasto znacie, przeto nie tracąc czasu, chodźmy do wojewody błagać go, żeby na inną noc odłożył wyprawę.

— Dersława weźmy z sobą—radził Marek.

— Ba, kiedy Dersław za nim trzyma.

— To nasza przegrana. Już ich nikt nie przekona—mruknął Godzimir.

XVI.

Wojewodzie duszno było za murami. Gród nazywał on kurnikiem smrodliwym, a szeroka pierś rycerza wzdychała do przestrzeni i powietrza. Przykrzył też sobie między „Niemcami,“ tak nazywał mieszczan, i pragnął wylecieć jak orzeł, spaść z góry na nieprzeliczone roje mongołów — zwyciężyć lub zginąć. Gryzł się tem, iż chwała dzisiejszego zwycięztwa spadała na Niemca, czyli Witkona, postanowił tedy nocną wycieczkę. Wybrał najsławniejszych junaków z drużyny swojej i kazał im być w pogotowiu na każde skinienie. Sam poszedł na wieżę zamkową i z jej szczytu obejmował sokolim wzrokiem olbrzymi koc tatarski, który jak czarne fale morza, rozlał się szeroko na białej,

śnieżnej przestrzeni. Raz wraz spozierał w niebo i złorzeczył wyiskrzonym gwiazdom, urągał srebrnemu księżycowi.

— Przybądźcie czarne chmury! niech one jak płaszczem żałobnym przykryją światła niebieskie. Nocy ciemnej mi trzeba, abym mógł wpaść jak burza na tych psubratów i zgnieść i wrócić, jako wracają sokoły z wyprawy!—tak modlił się wojewoda.

W miarę posuwania się nocy, ogniska w kocu gasły. Niebawem cała niemal zachodnia strona zanurzyła się w cieniu.

— Z tej strony bym uderzył — jeno... O, Bogarodzico... wysłuchaj mnie!...

Wbiegł na wieżę wierny giermek, przerwał wojewodzie rozmyślania i oznajmił, że starsi miasta z wójtem na czele proszą o posłuchanie.

Gniewny wojewoda odpędził pacholika, a na odchodne mu rzucił:

— Powiedz im, że na tę noc Dersławowi dałem zlecenia, niech z nim gadają. Nie chcę ich widzieć. Wypoczywam, bom utrudzon. Zrozumiałeś! Wypoczywam, bom utrudzon. Podłe mieszczańskie tchórze!—splunął i powrócił do przerwanych dumań.

Zmęczona bezowocną pracą czerń tatarska późno nocą zasnęła, ażeby o świcie wzmocnionemi siłami rozpocząć regularne oblężenie. Straże tylko czuwały, ale i tym senne kleiły się powieki.

W namiocie „bohatyra“ ciemno było. Bohatyr chrapał, przykryty kosmatą burką. Domarad leżał z boku przy wyjściu. Udawał, że śpi, a tymczasem postanawiał krok stanowczy uczynić. Wiedźma poszła kurować innego bohatyra, któremu ukrop wypalił oczy. Więzów już na sobie nie miał, bo bohatyr opity odurzającym napojem sam go oswobodził.

Przekraść się przez obóz tatarski, to było najtrudniejsze zadanie.

Potem czekało go inne również niebezpieczne — ażeby go straże miejskie nie wzięły za Tatarzyna i nie ubiły, zanim zdąży opowiedzieć się hasłem.

Wola Boża! wolę śmierć, niż męczarnie i jasyr.

Bohatyr przewrócił się na drugi bok i jął tem głośniej chrapać. Domarad przeczekał jeszcze czas niejaki. Potem uniósł się ostrożnie z tapczana, sięgnął po szablę, którą ukrył pod kożuchem i już miał wysunąć się z namiotu, kiedy nagle bohatyr jęknął dziwnie i począł krzyczeć. Domarad zasunął się za pęk skór

końskich i czekał, zaparłszy dech w sobie. Widziadła jakieś męczyły widocznie bohatyra, wkrótce jednak ułożył się wygodnie i znów smacznie zasnął. Wtedy Domarad wyszedł z namiotu, Przed nim długim szeregiem ciągnęły się telegi. Spojrzał na niebo. Nie było już gwiazd, nie było księżyca: chmury czarne waliły z północy.

— Dobra nasza, takiej nocy właśnie mi trzeba— szepnął młodzieniec i ruszył ostrożnie naprzód.

Nie zdążył jednak ujść ani seciny kroków, kiedy zakotłowało się okrutnie koło niego. Powietrze napełniły jęki, krzyki rozpaczliwe, wołania rozlewały się szeroko.

— Przez Bóg żywy, co to jest?

W chaosie wrzawy słyszy od czasu do czasu wyraźnie swojaków hasło...

— Bij! Zabij!

Rycerze, zbroją okryci, tną na prawo i na lewo. Szczękają oręże, trup gęsty pada, a zbrojni jako burza walą przed siebie.

— Bogarodzico, to nasi! — zawołał radośnie Domarad.

Krzyczał o ile mógł najgłośniej: „Bywaj!“ ale w zamęcie powszechnym hasło to ginęło.

Jakiś łucznik olbrzymi najechał koniem wyrostka i ciął mieczem. Szczęście, że odskoczył, inaczej byłby zginął. Ledwie się podniósł, aż znów pawężnik godził w niego kopią. Musiał się zastawić mieczem; drzewce pękło, lecz i Domarad padł na ziemię...

Walka przeniosła się na drugą stronę obozu, wtedy wyrostek na czworakach przyczołgał się do teleg, skoczył na luzem pędzącego konia i pocwałował na przełaj przez śniegi w stronę grodu. Pod okopem od strony Wisły czekał w pogotowiu oddział rycerzy, ażeby czerni, jeżeli się skieruje w tę stronę, dać godną odprawę.

Domarad jak strzała wszył się w środek łuczników, krzycząc:

— Nie ruszaj! Swój!

Był ocalony.

Wnet i rycerze zrozumieli, że zbieg z jasyru błaga ich o zmiłowanie.

Witkon stał na murach, drżąc o losy rycerzy i miasta. Zapalić kazał maźnicę. Widno się zrobiło jak w dzień. Wszyscy obrońcy szykowali się do noc-

nej walki. Upłynęła jedna i druga godzina. Z koca jak grzmoty dochodziły odgłosy krwawej walki. Wszystko, co żyło w mieście, w niepokoju, trwodze pchało się na wały.

— Ażalić wrócą, pogromiwszy Tatarzyna? Boże, im błogosław!—szeptały usta.

Krew poczęła grać w żyłach najtrzeźwiejszych, serca rozpalać. Cech szewcki nie mógł już nad sobą panować—chciał się rzucić w bój.

Witkon żelaznej używał mocy, ażeby wrzące tłumy w posłuszeństwie utrzymać. Cechmistrza zwalił z nóg uderzeniem czekana, a jednego z towarzyszów rozbroił, łańcuchami skrępował i do piwnicy wrzucić kazał.

Tymczasem rycerze, przejechawszy się po karkach tatarskich, wracali z radosną pieśnią:

Bogarodzico, dziewico,
Bogiem sławiena Maryo...

Tysiące piersi odpowiedziało im z wałów:

U Twego Syna gospodną,
Matko zwolena, Maryo...

Już tej nocy nikt nie spał: ani w grodzie, ani w kocu. Kiedy zaś blade nitki świtu poczęły ledwo rozpraszać ciemnie, rumiane zorze były jeszcze daleko za górami, już Nogaj podsunął setki wież oblężniczych, zatoczył kusze wielkie do miażdżenia strażnic.

Baszty i mury miejskie drżały od nieustannego tłuczenia taranami. Sam Nogaj, wściekły i okrutny, otoczony doborowymi bohatyrami rąbał główną bramę. Mieli oni nad głowami ważną ochronę, duże i mocne tarcze, z których uczynili sobie rodzaj sklepienia.

Z murów, wież, baszt, strażnic — na całej rozciągłości miasta, obrońcy miotali, drągi, pociski lub staczali na dół wielkie kłody, które miażdżąc ciężarem swoim, strącały dziesiątkami szturmujących.

Mocniejsi w barkach unosili w górę ciężkie głazy i trzaskali niemi łby wdzierających się po drabinach.

Piekło się rozpętało i podnosiły się z głębokich wądołów i przykopów szatanów jęki i szatanów wycia.

O, niewiasty sandomierskie! Gdyby nie męztwo matki Agnieszki i wszystkich innych współczesnych jej białogłów, możeby Nogaj w pamiętnym roku pań-

skim 1287 roztłukł był taranami piękne wasze miasto, tak, żeby i dymu i popiołu po niem nie zostało. Dziewice nawet z rozwianym włosem, z płomieniem świętym w oku stanęły przy rodzicach i braciach, nie zważając, że okrutny, zajadły Tatarzyn gęste na nich strzały miota.

Lepsza śmierć przy boku bratnim, niż hańbiący jasyr.

Jedne podawały mężom pociski, inne znosiły kamienie, aby ich zawsze było poddostatkiem, trzecie wreszcie smołę wrzącą i ukrop dźwigały w kotłach. Matka Agnieszka roznieciła wielkie ognisko, topiła na nim słoninę, masło, tłuszczem polewała suche drzewo, a obrońcy podpalali niem niebezpieczne wieże oblężnicze.

Słońce już przeszło południe, a walka potęgowała się jeszcze. Przy bramie Opatowskiej i Krakowskiej nie wytrzymały uderzeń taranów mury — pękły. Wyłomy spostrzegł zaraz Telebug, sprawił szyki i wdzierać się kazał do miasta.

Chytrze i mądrze on tu sobie postąpił. Chciał oszczędzać pierwsze szeregi i dlatego rozstawił w okół bystrych łuczników, aby nacierających zasłaniali. Sam

zaś, osłoniony tylko tarczą, biegł na czele wiernych swych zastępów przez okopy i wały do bramy Opatowskiej.

Pewny on już był zwycięztwa, przeto dążył z rozradowanem sercem.

Spostrzegli atoli i mieszczanie zagrażające im z tej strony niebezpieczeństwo.

W oka mgnieniu Dersław z Obręczny skrzyknął swoich rycerzów na zagrożone miejsce. W pierwszych szeregach stanęli pawężnicy, w następnych strzelcy z kuszami.

Niebawem przekonał się Telebug, że spojone pawęże piechotników polskich twardsze są do zgryzienia, aniżeli mury.

Bohatyrowie, jak sfora psów wpadli na tarcze i rozbili się, skowycząc boleśnie. Na twarz Teleboga wystąpiły płomienie gniewu. Uderzył drugi raz, trzeci i za każdym razem zastępy bohatyrów rozpryskiwały się, jako fala, kiedy skacze na granitowe brzegi.

Już większa połowa bohatyrów padła trupem, a pawężnicy, niby słupy dębowe, stali wciąż nieporuszeni.

Jednocześnie okrutny Nogaj odparty ze sromotą od grodu przez wojewodę, wściekły, oszalały z gniewu straszne gotował natarcie.

Na komorach, urządzonych z tarcic, które zasłaniały bohatyrów, kazał on powystawiać wszystkie niewiasty i dziewice, pojmane w jasyr w okolicach Sandomierza.

Przykrępowane nieruchomie do tarcic nieszczęśliwe ofiary, obnażone z szat, nawet z bielizny, twarzą obrócone do murów, gorzały wstydem i modliły się o śmierć z ręki rodaków.

Obrońcy zrazu nie zrozumieli, co ten pochód znaczy. Pierwszy zadrżał najstarszy syn Godzimira, bo poznał zawieszoną na tarcicy swoją żonę, córkę i wnuczkę. Kusza wypadła mu nagle z ręki, jedną ręką chwycił się za wystającą krawędź baszty, a drugą ucapił rodzica za ramię.

I drgał jako liść osiny. Następnie zbliżały się inne niewiasty z osady Godzimira.

W jednej chwili na mury, jakby kto makiem siał, cisza spadła, tylko serca, niby umęczone gołębie, tłukły się w piersiach.

Marek Owca ocierał raz wraz dłonią czoło, obficie potem zroszone. Rysy twarzy od dziwnego wykrzywienia przybierały kształty dziecinne, aż łzy sznurkiem poczęły płynąć z oczów.

Witkon odwrócił głowę, mocował się z sobą i też zdawało się, że ryknie.

Inni stali niemi i nieruchomi, z oczyma rozszerzonemi z przerażenia, jak gdyby zaklęci w kamienne słupy tym strasznym widokiem.

Ociemniały Godzimir przerwał panującą ciszę zapytaniem:

— Dlaczego nie pracujecie?...

Wtem z za murów przedarł się głos jego ukochanej synowej, rozpiętej na tarcicy:

— Bijcie psubratów, bo was jako kokosze z kojca powybierają!...

— Strzelajcie celnie, sromu nam oszczędźcie! — wołały inne nieszczęśliwe.

— Błogosławiona dla nas ta śmierć!

— Ochrońcie nam jasyru!

I głosy te, jakby kto rozpalone łuczywo rzucał na suchą słomę, zemstą płomienną poruszały serca obrońców.

Z tysiąca piersi wyrwał się okrutny ryk zgrozy i na całej linii zawrzała śmiertelna walka.

Biedny Domaradzie! i ukochana wnuczka starego Marcina wisiała między innemi na tarcicy...

XVII.

Domarad miał zgruchotane ramię, rozbitą głowę. Póki zostawał w promieniu jasyru, nie czuł bólu, upewniwszy się jednak, że jest wolny, między swoimi stracił moc panowania nad sobą. Przenikliwy ból w ramieniu, z którego sączyła się krew, nie pozwolił mu utrzymać miecza, ręka opadła bezwładnie. W głowie miał szum wielki, w oczach ciemniało.

Rycerze zarzucili go pytaniami, ale on tylko niewyraźne głosy słyszał. Tracił przytomność. Zdawało mu się, że idzie drogą, a liście miotane wichrem coraz nieznośniej szeleszczą.

Biedny chłopiec, miast odpowiedzi na zadawane mu pytania przez ciekawych jego losów rycerzy, bre-

dził w gorączce, polecono przeto jednemu z ciurów odwieźć go do Duchniaków.

Kiedy się obudził, mrok był w izbie, cała podłoga usłana była tapczanami, na nich leżeli pokaleczeni ludzie; niektórzy jęczeli głucho, inni się modlili, a byli i tacy, którzy bez życia, bez tchu, niby zmarli, wypoczywali po ciężkiej wędrówce doczesnej.

Jak tylko Domarad obudził się, pochyliła się nad nim dziewczynina i zapytała troskliwie, czego by sobie życzył: jadła, czy napoju?

— Wody, bo mi całkiem w gardle zaschło. Gdzie jestem?

— U swoich, w zakładzie Ś-go Ducha.

— Z Markiem co się dzieje?

— Bramy Opatowskiej broni.

— Dlaczego tak dzwonią, przecież już musi być dawno po pacierzach?—zapytał nagle.

— Bitwa się skończyła. Tatarzy odparci. Ojciec przeor na podziękowanie Panu Bogu nabożeństwo odprawuje.

— O, Boże Wiekuisty! O, Boże!—zawołał Domarad i zerwał się z posłania, lecz zaraz upadł, bo ustać na nogach nie mógł z osłabienia.

Dziewczynina poczęła go pocieszać słodkiemi słowy, lecz on na jej pytania nie odpowiadał, jeno raz wraz powtarzał:

— Pożal się, Boże! Pożal się, Boże!

— Jakto, nie poznajecie mnie: wnuczki Rościsława?...

Wtem wszedł do izby Marek; dziewczynina zaraz do starca pobiegła i przyprowadziła do Domarada.

— O! tu jest! tu!

Marek schylił się, Domarad objął go za szyję zdrową ręką.

— Witaj, witaj! miły sercu memu chłopaku!... Bóg cię tutaj przyprowadził, z ciężkich terminów wydobył...

— Oj, że z ciężkich, to z ciężkich!...— westchnął wyrostek.

— Nic to! Za wszystko trzeba Bogu dziękować! Po dniach smutku przychodzą gody... Na dobrą-żeś chwilę trafił: do cna żeśmy dziś potłukli kapciaków obmierzłych; wądoły, przekopy pełne trupa. Chociaż i z naszych zacnych ludzi siła padła.

— Jurek zdrów aby?

Marek kiwał głową, po chwili rzekł dopiero:

— Padł przy moim boku. Jak złoto był to chłopak. Pewno on już tam u Bogarodzicy na godach zasiada—dodał.—Wola Boża!

— Godzimir?—szepnął przygnębiony chłopiec.

Marek znów się zaciął.

— I tego już niema. A piękną miał śmierć: zginął, jak prawy rycerz. Jutro mu pogrzeb sprawujemy...

Wieść o śmierci patryarchy ugodziła tak Domarada, jakby mu kto nóż w serce wraził.

— Wszyscy tedy mrą, wszyscy giną, czemuż mnie, sierotę, moce niebieskie oszczędzają?—rozpaczał.

— Nie bluźnij ty przeciw Panu! — surowo podniósł głos Marek. — Pamiętaj to na wiek życia swego, że komu Bóg cierpienia zsyła, obietnice temu składa. Kto wie do jakich celów przeznaczył cię Pan Jezus i czego od ciebie wymagać będzie?

Tej treści długie jeszcze dawał Marek nauki Domaradowi, a ten słuchał pokornie i dziwował się, że mąż ten taki dziwnie milczący, pięknie tak prawić potrafi, niby opat na ambonie.

Kiedy wreszcie Marek skończył, Domarad umocniony powagą i dobrocią starca opowiedział o wszyst-

kich przygodach swoich, a już najżałośniej roztkliwi
się nad wnuczką starego Marcina.

— Pobłądziliście — rzekł Marek. — Najpierw G
dzimir, że więcej zaufał swoim lochom, niż murom, a
i ty niebacznie postąpiłeś sobie.

— Czyż oną niewiastę obłąkaną z dzieciami mi
łem ostawić własnemu losowi? Mówcie, Marku!

— Pewno chciałeś jak najlepiej, potraf-że ter
przestać na tem co jest.

Niedługo Witkon pozwał Marka do siebie na n
radę, więc się pożegnali.

Domarad ostał między rannymi, przez całą n
oka nie zmrużył, jeno rozmyślał nad sobą i nad ter
co się stało.

Nad ranem dopiero zasnął i miał dziwny se
Zdawało mu się najpierw, że widzi świętego Sadok
przeora O. O. Dominikanów, otoczonego czterdziest
ośmiu zakonnikami, których za czasów księcia Bole
sława Wstydliwego Tatarzy wymordowali.

Święty mąż nieziemską miał postać, podobny by
do jasnego anioła, z białemi skrzydłami u ra
mion. Schylał się on nad księgą, którą trzymał no
wicyusz. Jeden ustęp był wyryty złotemi głoskami

W Sandomierzu męczeństwo czterdziestu dziewięciu męczenników."

Obudził się i przypomniał sobie zaraz, że świętą historyę o męczennikach sandomierskich opowiadała mu swego czasu matka Agnieszka. I zaszła w nim przemiana.

Nie rwał on już się na mury, nie pragnął zemsty nad Tatarami, owszem, żałował ich, że światła świętej wiary nie znają. Dlatego też myślał, że Bogarodzica przebaczy im one zbrodnie, jakie nad światem wyprawują.

Ubrał się śpiesznie i poszedł do celi magistra nowicyuszów.

Staruszek przyjął go życzliwie, wysłuchał wynurzeń serca i dał taką radę:

— Ostań u nas! Chorych mamy dużo, a póki Tatarzy pod murami, przybywać będą ciągle. Przydasz się, bo nam ręce opadają ze znużenia. A potem zobaczymy. Może dostąpiłeś łaski i Pan Jezus powoła cię na sługę Swego, abyś pasł Jego baranki?...

Padł wyrostek do nóg magistrowi i odtąd począł spełniać najprostsze usługi przy rannych.

Tymczasem na murach dzień po dniu walki krwawe szły. Przerzedzały się szeregi obrońców, głód począł zaglądać, a nadto choroby nieznane dotychczas gnębiły ludność. Tatarzy bowiem wrzucili do wnętrza miasta parę tysięcy kubłów, napełnionych ścierwem zdechłych zwierząt.

Serca miękły, jak wosk, hart ducha upadał. Witkon poczerniał, wychudł ze znużenia. Najbardziej truł się brakiem żywności.

— Gdy ona się wyczerpie, śmierć albo jasyr pewny nas czeka—myślał zasmucony.

Nadto nowa wielka strata miała spotkać niebawem obrońców.

W sam dzień Mścigniewa, Tatarzy również wyczerpani, a oprócz tego zniechęceni niepowodzeniem, zdaje się ostatnich sił dobyli i uderzyli z szaloną wściekłością.

Do zmroku znów trwała bitwa uporczywa; biały śnieg, roztopiony gorącą krwią umierających, strugami spływał na lody Wisły.

Już Telebug dał hasło przez kotły, żeby się Tatarzy cofali do obozu. Niebaczny Dersław, rozgrzany zwycięztwem, z dwustu łucznikami wysunął się za mury i skoczył jako lew na napastników.

Tatarzy wnet, swoim zwyczajem, po krótkiej ucieczce, zwrócili się nagle półkolem.

Łucznicy rzezali wrogów na pował, ale jednocześnie, ściskani żelaznym pierścieniem, sami gęstym trupem padali.

Spostrzegł niebezpieczeństwo Dersław—chciał wyrwać się z krwawego koła, ale było już zapóźno...

Mała garść jego ludzi nie mogła się przebić... Wtem koń pod Dersławem padł ugodzony dzirytem... Na głowę mężnego wojownika spadł istny grad kiścieniów.

Tak zginął Dersław, ozdoba grodu Sandomierskiego.

Była to ostatnia strata. Tatarzy w nocy zwinęli obóz, przeszli przez Wisłę i Nadbrzeziem pociągnęli w stronę Krakowa.

Wiadomość, że Tatarzy ustąpili, spadła na mieszkańców całkiem niespodziewanie, podawano ją sobie ust do ust, nie dając wiary: ażalić prawda?

Ludzie padali sobie w objęcia, zalewając się łzami radości, piersi łkały szczęściem.

Pomieszane tłumy: starców, dzieci, niewiast, jako wezbrana wiosennemi roztopami rzeka, płynęły na

mury miejskie, ażeby przekonać się naocznie o wielkiej nowinie.

W kościele Panny Maryi, Świętego Pawła, O. O. Dominikanów rozkołysały się dzwony i harmonią przecudnych dźwięków poruszały serca.

Kapłani i zakonnicy przybrani w uroczyste szaty, dziękczynnym hymnem wielbili Pana nad pany za ocalenie.

Przezorny Witkon nie dowierzał jeszcze, zarządził też wszelkie środki ostrożności.

— Może to zwykły tatarski podstęp? — myślał. — Sciągnąć chcą wojowników z obronnych pozycyi, wrócić się nagle i bez walki opanować miasto.

Upłynął jednak dzień jeden i drugi, kryjący się po ciemnych lasach ludzie poczęli wychodzić na jaśnie i pukać do bram grodu. Byli to ludzie wygłodzeni, odarci, skostniali od zimna.

Duchaki mieli roboty po łokcie. Od ścierwa padłych zwierząt, któremi Tatarzy zarzucili miasto, od rozkładających się trupów polskich i tatarskich, w powietrzu, pomimo mrozu, unosiły się zabójcze odory, od których ludzie padali.

Domarad dzień i noc był na nogach, nie znał wypoczynku, święty go ogarnął zapał: postanowił wszystkie swoje siły poświęcić dla bliźnich.

Witkon zrazu niechętnie patrzał na tę przemianę.

— Mocy ma dużo, hartu, ducha mocnego jest — na rycerza by mu się kierować, zwłaszcza że Rożkowie piękną dla niego ostawili osadę.

— Wola Boża! — powtarzał Marek.—Rozumiałem i ja, że rzemiosło wojenne będzie dla niego najprzystojniejsze, ale...

Tutaj Marek wznosił w niebo oczy i przerywał rozmowę.

Tymczasem O. Przeor, ile razy przechodził przez izby szpitalne błogosławił krzyżem świętym Domarada szeptał:

— Boże, mu dopomóż!

Tak przeszły Gody.

Domarad, nauczony przez ojca Magistra, urządził asełkę dla chorych, przychodzących do zdrowia. Co nia też kolędowe rozbrzmiewały pieśni pod strzechą Duchaków, i pomimo ciężkich dni, nadzieją lepszej rzyszłości biły serca.

Po Trzech Królach jeszcze jedna straszna wiadomość przygnębiła Sandomierzan.

— Książę Leszek Czarny umknął z Krakowa do Węgier przed Tatarami!

Wojewoda spłonął ogniem ze wstydu i hańby, darł na sobie szaty, tak mu się ten postępek księcia wydał sromotnym.

Kiedy zaś pierwszy żal go minął, kazał otrąbić wsiadanego i tegoż dnia wyruszył ze swoimi rycerzami na odsiecz zagrożonemu miastu Kraka.

W niepokoju upływały tygodnie. Witkon kazał gromadzić nowe zapasy żywności, bo był ciągle niespokojny o jutro. Wreszcie i ta trwoga przeszła. Tatarzy przed roztopami wiosennemi, bojąc się topieli w bagniskach, pędząc przed sobą tysiące nieszczęśliwych dziewic polskich, pomknęli na wschód, w stronę Halicza.

Dopiero teraz na niwach krakowskich i sandomierskich życie nowem zabiło tętnem. Jakaś moc w ludzkie piersi wstąpiła: wszystko co żyło rwało się do pracy.

Domarad nie opuszczał Duchaków. Nie pomogły przedłożenia Witkona, nie nęciła go zielona ruń, ani zapachy świeżych pąków, co wystrzelały na drzewach.

Raz tylko jeden wysunął się do zagrody starego Marcina. Nie umiał, niestety, do niej trafić, może dla tego, że co dawniej spętane było lodami, dziś szumiało potokami wód. Błąkał się po dzikich i niebezpiecznych ustroniach dni parę. Wrócił zasmucony i gorliwiej jeszcze spełniał obowiązki posługacza przy chorych.

Po dwóch latach tak uciążliwej praktyki, przeniósł się do O. O. Dominikanów jako nowicyusz, i w klasztorze tym na świętobliwych uczynkach spędził długi wiek życia swego.

KONIEC.

SEMINARYUM POLSKIE w Pontevedra

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA GŁÓWNA

259760